

 HARLEQUIN®

*Światowe Życie®*



India  
**GREY**

*Tajemnice angielskiej arystokracji*

**India Grey**

**Tajemnice angielskiej arystokracji**

*Tłumaczenie:*

*Alina Patkowska*

## PROLOG

*Londyn, marzec*

To była niewielka notka w dziale nieruchomości jednej z niedzielnych gazet. Siedząc w wygniecionym łóżku, które w ciągu ostatnich trzech tygodni stało się całym ich światem, i jedząc brioszkę grubo posmarowaną malinowym dżemem, Sophie pisnęła głośno.

– Posłuchaj! „Nieoczekiwany zwrot w sprawie spadkowej Fitzroya. Po niedawnej śmierci Ralpa Fitzroya, ósmego earla Hawksworth, właściciela posiadłości Alnburgh, okazało się, że oczekiwany spadkobierca nie ma w rzeczywistości prawa do dziedziczenia. Źródła zbliżone do rodziny potwierdziły, że spadek, obejmujący między innymi pięćsetakrową posiadłość w Northumberland wraz z zamkiem Alnburgh oraz sporą nieruchomość w Chelsea, przejdzie w ręce Jaspera Fitzroya, młodszego syna earla z drugiego małżeństwa, a nie jego starszego brata, majora Kita Fitzroya”.

Wsunęła w usta ostatni kawałek brioszki i czytała dalej.

– „Major Fitzroy, wojskowy w czynnej służbie, został niedawno odznaczony Krzyżem Jerzego za odwagę, wydaje się jednak, że ta odwaga zawiodła go w sprawach związanych z przejściem Alnburgh. Według mieszkańców okolicy posiadłość została w ostatnich latach zaniedbana i następny właściciel będzie musiał stawić czoło poważnym obciążeniom finansowym. Kit Fitzroy ma opinię zamożnego człowieka, ale w tym wypadku być może nie ma ochoty prowadzić misji ratunkowej”.

Odrzuciła gazetę, oblizła dżem z palców i spojrzała na Kita spod rzęs.

– „Ma opinię zamożnego człowieka”. – Przesunęła się pod kołdrą i pocałowała go w ramię. – Podoba mi się to zdanie.

Kit, który jeszcze nie rozbudził się do końca, westchnął, obrócił się na bok i popatrzył w jej błyszczące oczy.

– Tak podejrzewałem. Jesteś zwyczajną, płytką materialistką.

– Oczywiście. – Skinęła głową, zaciskając usta, żeby się nie uśmiechnąć. – Interesują mnie tylko twoje pieniądze, a najbardziej ten wystawny dom w Chelsea. – Zatoczyła ramieniem łuk, ogarniając sypialnię z widokiem na ogród, gdzie przy barierkach z kutego żelaza kwitły żonkile. – Z tego względu jakoś znoszę twoją nudną osobowość i bardzo przeciętny wygląd, nie wspominając już o rozczarowaniach w łóżku...

Pisnęła i wstrzymała oddech, gdy Kit leniwie wsunął dłoń między jej uda.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Powiedziałam... Powiedziałam, że interesują mnie tylko twoje pieniądze. – Jej oczy pociemniały, gdy dłoń powędrowała wyżej. – Zawsze chciałam być zabawką bogatego faceta.

Oparł się łokciu, żeby widzieć ją lepiej. Jej włosy, rozsypane na poduszce, wydawały się jaśniejsze niż wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w pociągu. Teraz bardziej przypominały kasztany niż jagody ostrokrzewu. Twarz bez makijażu nigdy nie wydawała mu się piękniejsza.

– A nie żoną bogatego faceta? – zapytał leniwie, całując ją w zagłębienie obojczyka.

– Och, nie! Gdyby chodziło o małżeństwo, szukałabym nie tylko majątku, ale również tytułu. – Usta

Kita przesunęły się na jej szyję i jej głos zmienił barwę. – Oczywiście razem ze stosowną posiadłością.

Uśmiechnął się, wdychając zapach jej skóry.

– Dobrze wiedzieć. Chwilowo nie mam na stanie żadnych tytułów ani posiadłości, więc nawet nie będę cię pytał.

Poczuł jej napięcie i usłyszał ciche westchnienie.

– No cóż, możemy się trochę potargować – powiedziała bez tchu. – Wydaje mi się, że w tej chwili jesteś w całkiem dobrej pozycji negocjacyjnej.

– Sophie Greenham – odrzekł poważnie. – Kocham cię, bo jesteś piękna, inteligentna, uczciwa i lojalna.

– Pochlebstwo daleko cię zaprowadzi. – Przymknęła oczy, gdy jego palce znów zaczęły wędrowkę po jej udzie. – A to załatwi resztę.

Kit poczuł ucisk w piersi.

– Kocham cię, bo uważasz, że bielizna jest lepszą inwestycją niż ubrania, bo jesteś odważna, wesoła i seksowna. I zastanawiałem się, czy zechciałabyś za mnie wyjść.

Otworzyła oczy i na jej twarzy powoli wypłynął uszczęśliwiony uśmiech. Kit miał wrażenie, że patrzy na wschód słońca.

– Tak – szepnęła, wpatrując się w niego promiennymi oczami. – Tak, bardzo chętnie.

– Chciałbym cię tylko ostrzec, że rodzina mnie wydziedziczyła.

– Stworzymy własną rodzinę.

Odsunął pasmo włosów z jej policzka.

– Nie mam tytułu, zamku ani posiadłości, które mógłbym ci dać.

Roześmiała się i pociągnęła go w ramiona.

– Wierz mi, zupełnie tego nie żałuję.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Pięć miesięcy później.*

*Brytyjska baza militarna w obrębie teatru działań wojennych.*

*Czwartek, szósta piętnaście rano.*

Wschód słońca zabarwiał niebo na różowo, a piasek na złoto. Kit przetarł ręką piekące z wyczerpania oczy i popatrzył na pustynię, zastanawiając się, czy dożyje wieczoru. Spał tylko godzinę, może dwie i śnił o Sophie. Obudził się z ciałem napiętym z pożądania i chaosem w myślach, wciąż czując jej zapach. Chyba już wolał bezsenność.

Pięć miesięcy. Dwadzieścia dwa tygodnie. Sto pięćdziesiąt cztery dni. Tęsknota powinna już przycichnąć, tymczasem z dnia na dzień stawała się coraz silniejsza. Nie dzwonił do niej nawet w chwilach, gdy pragnienie usłyszenia jej głosu przepalało go na wylot jak promień lasera. Wiedział, że gdyby go usłyszał, dolałby tylko oliwy do ognia, a także, że nie pomoże mu nic, co można powiedzieć na odległość sześciu tysięcy mil.

Jeszcze tylko jeden dzień. Nazajutrz mieli wylecieć do domu. W całej jednostce już od tygodnia narastało tłumione podniecenie, mieszanina ulgi i euforii. Kit jednak nie podzielał tych uczuć. Już od lat służył w jednostce saperskiej i uważał to po prostu za pracę – brudną, trudną, nieprzyjemną, wyczerpującą, uzależniającą i niezbędną pracę. Teraz ta praca wydawała mu się jeszcze bardziej brudna, stawka wyższa, a szanse przetrwania mniejsze, znacznie mniejsze.

Jeszcze jeden dzień. Czy nadal będzie mu sprzyjało szczęście?

– Majorze Fitzroy, kawa! Jesteśmy już prawie gotowi do opuszczenia terenu.

Saper Lewis zbliżał się do niego od strony mesy, rozchlapując kawę z dużego emaliowanego kubka. Gorliwy dziewiętnastolatek wciąż był pełen entuzjazmu i przypominał mu szczeniaka. Przy nim Kit czuł się, jakby miał tysiąc lat. Przyjął kubek z rąk chłopaka, przełknął łyk i skrzywił się.

– Dziękuję, Lewis. Znam ludzi, którym poranną kawę przynosi ponętna sekretarka, tymczasem ja mam ciebie i dostaję coś, co smakuje jak świeżo zaparzone błoto.

Lewis uśmiechnął się szeroko.

– Będzie pan za mną tęsknił, kiedy pan wróci do domu.

– Szczerze wątpię. – Kit upił jeszcze łyk, wylał resztę kawy na piasek i odszedł, zdążył jednak zauważyć wyraz twarzy chłopaka.

– Na szczęście jesteś znacznie lepszym żołnierzem niż baristą – zawołał przez ramię. – Pamiętaj o tym, kiedy wrócisz do domu, dobrze?

– Rozkaz! – odkrzyknął Lewis. – Chciałbym jeszcze powiedzieć, że bardzo się cieszę, że mogłem

służyć pod pańską komendą. Mnóstwo się nauczyłem. Wcześniej nie byłem pewien, czy chcę zostać w wojsku, ale patrząc na pana, zdecydowałem się służyć w jednostce saperskiej.

Kit potarł ręką podbródek i odwrócił się.

– Masz dziewczynę?

Lewis niepewnie przestąpił z nogi na nogę i jego grdyka poruszyła się w górę i w dół.

– Tak. Nazywa się Kelly. Za dwa miesiące ma urodzić nasze dziecko. Na najbliższej przepustce poproszę ją, żeby za mnie wyszła – oznajmił z dumą i pewnym zażenowaniem.

Kit popatrzył na horyzont przez przymrużone powieki i skinął głową.

– Kochasz ją?

– Tak, panie majorze. – Lewis grzebał w piachu czubkiem buta. – Jesteśmy ze sobą niedługo, ale...

Tak, kocham ją.

– W takim razie posłuchaj mojej rady. Naucz się parzyć przyzwoitą kawę i znajdź sobie pracę w Starbucksie, bo miłość i praca sapera nie idą w parze. – Oddał mu kubek z chłodnym uśmiechem. – A teraz zwijajmy się stąd i wracajmy wreszcie do domu.

– Przepraszam za spóźnienie – uśmiechnęła się Sophie i wślizgnęła się na krzesło przy niewielkim metalowym stoliku, starając się nie stracić niczego z blatu torbami pełnymi zakupów. Jasper zatrzymał wzrok na logo erotycznego butiku.

– Rozumiem, że to musiało trochę potrwać. Kit będzie miał ucztę, kiedy wróci do domu.

Wepchnęła torby pod stół, rzuciła wielki bukiet kolorowych kwiatów na sąsiednie, puste krzesło i spróbowała zetrzeć z twarzy głupawy uśmiech.

– Wydałam nieprzyzwoitą ilość pieniędzy – przyznała, sięgając po menu.

Jasper z zaciekawieniem zerkał do wnętrza torby.

– O ile znam ten sklep, to twoje zakupy również są mocno nieprzyzwoite.

– To tylko koszula nocna – wyjaśniła Sophie pospiesznie, z nadzieją, że nie będzie musiała prezentować skrawka srebrzystego jedwabiu na oczach całego tłumu jedzącego lunch w najbardziej ruchliwej restauracji w Covent Garden. – Przechodziłam obok, a ponieważ właśnie zapłacili mi za ten film o wampirach, a Kit wraca jutro, to pomyślałam, że właściwie co mi zależy. Ale swoją drogą, cena była zupełnie nieprzyzwoita.

– Głupstwa opowiadasz. Czasy, kiedy ubierałaś się w sklepach z używanymi rzeczami i kupowałaś przeceniony chleb w supermarketach, już minęły. – Jasper rozejrzał się za kelnerem, a potem znów na nią spojrzął i zatarł ręce. – Jeszcze tylko kilka godzin samotności, a potem Kit wróci do domu i zostaniesz narzeczoną na pełny etat. Planujecie jakieś imprezy?

– Dopiero kiedy wróci, za jakieś... – Sophie wyjęła telefon i sprawdziła godzinę. – Za dwadzieścia osiem godzin. Zaraz. Różnica czasu wynosi pięć godzin, więc teraz pewnie kończy

ostatnią zmianę.

Jasper usłyszał w jej głosie niepokój. Dotknął jej dłoni i powiedział stanowczo:

– Nie myśl o tym. I tak radzisz sobie doskonale. Ja bym chyba zwariował, gdyby to Sergio tam był i każdego dnia igrał ze śmiercią. Jesteś bardzo dzielna.

– W porównaniu z tym, co Kit robi, to nic takiego. – Próbowwała sobie wyobrazić, jak może teraz wyglądać: brudny, spocony i wyczerpany. Przez ostatnie pięć miesięcy kierował batalionem żołnierzy, myśląc przede wszystkim o ich potrzebach. Chciała, żeby już wrócił do domu, gdzie ona będzie mogła zająć się jego potrzebami.

– Soph?

– Co? Och, przepraszam. – Dopiero teraz zauważyła, że kelner już nad nimi stoi. Zamówiła sałatkę nicejską, pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w oko w karcie, i kelner odszedł, przeciskając się między stolikami.

– Kit jest do tego przyzwyczajony – powiedział Jasper nieobecny tonem. – Żyje tak od lat. A tak w ogóle, co u niego słyhać?

– Chyba wszystko w porządku – powiedziała wymijająco. – Powiedz lepiej, co u ciebie? Czy obydwaj z Sergiem jesteście już spakowani i gotowi do wyjazdu?

Jasper odchylił się do tyłu na krześle i przetarł twarz dłońmi.

– Wciąż się pakujemy, ale wierz mi, nigdy w życiu nie czułem się mniej gotowy na cokolwiek. Tyle się zdarzyło przez ostatnie pół roku: śmierć taty, mój coming out, potem ta historia z Alnburgh, gdy okazało się, że zamek należy do mnie, a nie do Kita... Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie wsiądę do samolotu i zostawię to wszystko za sobą. Przez następne trzy miesiące będę leżał na brzegu basenu i pił koktajle, kiedy Sergio będzie w pracy.

– Gdybym nie znała cię lepiej, to powiedziałabym, że bezlitośnie próbujesz wzbudzić we mnie zawiść.

– A wzbudzam? – uśmiechnął się Jasper.

– Nie. Basen i koktajle to świetnie brzmi, ale szczerze mówiąc, po raz pierwszy w życiu nie chciałabym być w żadnym innym miejscu, niż jestem. Oczywiście nie mam na myśli tej restauracji – dodała, wskazując na znanego ulicznego performerera – bo w końcu ileż można się przyglądać, jak bezrobotny aktor żongluje nożami. Ale w domu, z Kitem.

Jasper przyjrzał jej się spod przymrużonych powiek i z namysłem dotknął ust.

– Chyba wprowadziło cię UFO, bo nie mogę znaleźć innego wytłumaczenia dla tej zupełnej zmiany charakteru. Jakim cudem dziewczyna, która wciąż ma telefon na kartę, bo abonament jest zbyt dużym zobowiązaniem, zmieniała się w kobietę, którą najbardziej na świecie podnieca zmywanie i wieszanie prania?

– Miłość – odrzekła zwyczajnie Sophie, sięgając po dzin, który postawił przed nią kelner. – I może

jeszcze to, że przez całe życie byłam w drodze, dlatego teraz mam ochotę pozostać przez jakiś czas w jednym miejscu. – Na jej twarzy odbiło się poczucie winy. – Wciąż wchodzę do sklepów z meblami i oglądam sofy, a arkusze z próbkami kolorów stały się moją obsesją. Chyba po prostu chciałabym mieć dom.

– No cóż, Kit jest właścicielem jednej z najlepszych działek z ogrodem w Chelsea. To nie jest zły początek – powiedział Jasper, zagarniając krem krabowy na kawałek żytniego chleba. – W każdym razie to znacznie lepsze niż Alnburgh. Cudem udało ci się tego uniknąć.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Chcesz się tam wprowadzić, kiedy wrócisz z Los Angeles?

Jasper skrzywił się.

– Boże drogi, za nic! Po wybrzeżu w Northumberland przez cały czas hulają wiatry. Trudno uznać to miejsce za centrum przemysłu filmowego. No i nie wyobrażam sobie, żeby Sergio mógł pójść do sklepiku we wsi i poprosić panią Watts o *foie gras* i ostatni numer „Empire”.

Sophie skryła uśmiech. Jasper miał rację. Sergio przyjechał do Alnburgh na pogrzeb Ralpha i wyglądał tam jak papuga na biegunie północnym.

– To co się stanie z tym zamkiem? – zapytała, wydłubując oliwkę z salatkii. O dziwo, teraz, gdy się okazało, że ona i Kit nie będą mieli nic wspólnego z Alnburgh, przyszłość tego miejsca zaczęła ją interesować o wiele bardziej. Ostatniej zimy odwiedziła zamek w towarzystwie Jaspera. Czuli się tam nieszczęśliwi i na samą myśl, że miałyby zamieszkać w tych zimnych, kamiennych murach, dostawała gęsiej skórki, ale skoro już ta możliwość znikła z horyzontu, teraz, siedząc w słońcu pośrodku Covent Garden, była w stanie myśleć o zamku ciepło.

– Sam nie wiem – westchnął Jasper. – Z prawnego punktu widzenia sytuacja jest bardzo zawiła, a z finansami jest kiepsko. To jeden wielki bałagan. Wciąż nie mogę wybaczyć ojcu, że zrzucił taką bombę w testamencie. To, że Kit nie jest jego biologicznym synem, to tylko drobna techniczna komplikacja. Wychował się w Alnburgh i przez ostatnie piętnaście lat właściwie sam się wszystkim zajmował. Jeśli ja jestem wkurzony tym zwrotem sytuacji, to wyobrażam sobie, jak on się musi czuć. Czy wspominał coś o tym w listach?

Sophie potrząsnęła głową, unikając jego spojrzenia.

– Nie, nic nie wspominał.

Prawda wyglądała tak, że Kit nie wspominał prawie o niczym. Ostrzegali ją przed wyjazdem, że rozmowy telefoniczne będą dla niego zbyt frustrujące i będzie ich unikał, więc nie oczekiwała telefonów, ale mimo wszystko czuła się rozczarowana. Pisała do niego kilka razy w tygodniu, długie listy pełne nowinek, anegdotek i wyrazów tęsknoty, a on odpowiadał nieregularnie, krótko i bezosobowo. Czuli się przez to jeszcze bardziej samotni, niż gdyby w ogóle do niej nie pisał.

– Mam tylko nadzieję, że Kit nie żywi do mnie urazy – powiedział Jasper z przygnębieniem. –



Alnburgh był dla niego wszystkim.

– Nie mów głupstw. To nie twoja wina, że matka Kita odeszła z innym mężczyzną, kiedy on był jeszcze małym dzieckiem. A poza tym to już przeszłość. Jak powiedziała moja zwariowana matka, wszystko dzieje się po coś. Gdyby Kit miał odziedziczyć majątek i tytuł, to nie miałabym żadnych szans za niego wyjść. Musiałby się ożenić z kobietą o twarzy konia, która wniosłaby mu w posagu książęcy diadem i trzyletnią gwarancję urodzenia syna. Ja nie spełniam żadnego z tych warunków.

Mówiła lekkim tonem, ale gdy wspomniała o synu, w jej uśmiechu pojawiło się napięcie.

– Bardziej spełniasz te warunki niż Sergio. Obydwoje dobrze wyglądalibyście w diademie, ale z pewnością tobie łatwiej byłoby urodzić dziedzica.

– Ja bym nie była tego taka pewna – odrzekła załamującym się głosem i przycisnęła dłoń do ust.

– Soph? Coś jest nie tak?

Szybko sięgnęła po szklankę. Dzin był zimny, gorzki, dobry. Miała wrażenie, że rozjaśnia jej w głowie.

– Wszystko w porządku. Tylko... poszłam w końcu do lekarza, żeby wyjaśnić, dlaczego mam takie bolesne okresy.

– Boże, Soph, mam nadzieję, że...

– Nie, nie, nic poważnego. – Machnęła ręką. – Tak jak przypuszczałam, to endometrioza. Nie zagraża życiu, ale niewiele można z tym zrobić i mogę mieć kłopoty z zajściem w ciążę.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo chcesz mieć dzieci.

– Ja też nie wiedziałam, dopóki nie spotkałam Kita. – Zasłoniła oczy ciemnymi okularami. – Gdy okazało się, że mogę mieć kłopoty z zajściem w ciążę, uświadomiłam sobie, jakie to dla mnie ważne. Zabawne, prawda? – westchnęła. – W każdym razie lekarz nie powiedział, że to niemożliwe, tylko że może zająć sporo czasu i lepiej nie odkładać tego na później.

– W takim razie kiedy zaczniesz próbować?

Sophie z determinacją spojrzała na telefon.

– Za jakieś dwadzieścia siedem i pół godziny.

Duża wskazówka drżała, pełznąca ze znużeniem po tarczy zegara. Kit za każdym razem miał wrażenie, że wskazówce nie uda się przeskoczyć następnej minuty. Siedział na plastikowym krześle na oddziale intensywnej opieki i wpatrywał się w zegar zmęczonym wzrokiem. Był tu od późnego popołudnia brytyjskiego czasu. Przyleciał helikopterem ratunkowym razem z saperem Kylem Lewisem, utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej, z kulami w głowie i piersi. Nie takiego powrotu do domu Lewis oczekiwał.

Kit ukrył głowę w dłoniach i znajome odrętwienie znów ogarnęło czubki jego palców. Miał wrażenie, że rozpuszcza się w przestrzeni.

– Kawy, majorze?

Poderwał głowę. Pielęgniarka, ubrana w jednorazowy fartuch, uśmiechała się do niego miło.

Odwrócił wzrok i zazgrzytał zębami.

– Nie, dziękuję.

– Może chce pan jakiś środek przeciwbólowy?

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Czy wiedziała, że to z jego winy Lewis leżał w tej chwili w sali, podłączony do urządzeń, które oddychały za niego? Przy łóżku siedziała zapłakana matka oraz dziewczyna, o której Lewis mówił z taką dumą, a która teraz z przerażeniem odwracała od niego wzrok.

– Pańska twarz – powiedziała pielęgniarka łagodnie. – Wiem, że opatrzone to panu w szpitalu polowym, ale leki, które pan dostał, przestały już działać. – Pochyliła głowę i spojrzała na niego ze współczuciem. – Nawet jeśli to tylko powierzchowne obrażenia, rany od szrapnela są bardzo bolesne.

– Nie jest tak źle, jak wygląda. – Widział swoją twarz w lustrze w łazience. – Wystarczy duża whisky.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że tutaj pan tego nie dostanie, ale może pan już wrócić do domu. – Plastikowy fartuch zaszeleścił. Podeszła do drzwi sali, w której leżał Lewis, i zatrzymała się z ręką na szybie. – Jego rodzina już tu jest. Opiekował się pan tymi chłopcami przez pięć miesięcy, majorze. Czas już, żeby zajął się pan sobą – dodała łagodnie.

Nim drzwi znów się zamknęły, Kit zdążył dostrzec nieruchomą postać na łóżku. Westchnął głęboko, przytłoczony poczuciem winy. Dom. Sophie. Znów spojrzał na zegar i uświadomił sobie, że choć przez cały czas na niego patrzy, nie ma pojęcia, która jest godzina. Była prawie szósta po południu, a od Sophie dzieliło go jeszcze trzysta mil. Podniósł się niezgrabnie, z zamęt w myślach. Chciał być przy niej, poczuć ją w ramionach, zatracić się w niej i zapomnieć.

Odgłos otwieranych drzwi za plecami przywołał go do teraźniejszości. Z sali Lewisa wyszła jego dziewczyna. Drobne ramiona miała przygarbione, duży brzuch wydawał się nieproporcjonalnie wielki. Oparła się ciężko o ścianę. Wyglądała bardzo młodo, prawie jak dziecko.

– Nic nie chcę powiedzieć, a ja chcę tylko wiedzieć, czy on wyzdrowieje. – W jej głosie brzmiała uraza, ale Kit dostrzegał na twarzy lęk. – Wyzdrowieje?

– Zdaniem majora Randalla najgorsze już minęło – odrzekł Kit szorstko. – Jeśli żołnierz przetrwa transport powietrzny do szpitala, to szanse na przeżycie wynoszą dziewięćdziesiąt siedem procent. A jemu udało się przetrwać drogę do kraju.

Dziewczyna skrzywiła się jeszcze boleśniej.

– Nie chodzi mi o to, czy przeżyje, tylko czy wyzdrowieje, to znaczy, czy znów będzie normalny.

Bo jeśli nie, to nie wiem, czy uda mi się to znieść... – urwała i odwróciła twarz. Kit widział, że z trudem powstrzymuje łzy. – Nawet nie znamy się za dobrze – podjęła po chwili. – Niedługo ze sobą chodziliśmy, gdy to się zdarzyło. – Wskazała na brzuch. – To właściwie nie było planowane, ale jak mówi moja mama, to moja wina i teraz muszę z tym żyć. – Popatrzyła na Kita pustymi oczami. Łzy spływały jej po policzkach razem z tuszem do rzęs. – I co ja teraz zrobię, jeśli on... nie wiem, będzie kaleką? Będę musiała z nim zostać, prawda? Ale czyja to wina?

Moja, chciał powiedzieć Kit. Wyłącznie moja. Nie miał prawa o tym zapomnieć.

Sophie szeroko otworzyła oczy. Leżała bez ruchu, wpatrując się w półmrok i nasłuchując, czy powtórzy się dźwięk, który ją obudził. A może to nie był dźwięk, tylko wrażenie ze snu albo intuicja?

Usiadła, strząsając z siebie resztki snu. Zza okna dochodziły tylko zwykłe odgłosy miasta: szum samochodów na King's Road, odległe wycie syreny, samochód wjeżdżający na parking. Naraz jednak usłyszała coś jeszcze, bliżej, w domu – stłumione uderzenie, jakby coś upadło, a potem ciche, ciężkie kroki kogoś, kto wchodził na górę po schodach.

Na moment zastygła, a potem ze stłumionym przekleństwem odrzuciła kołdrę i rozejrzała się za jakąś bronią, ale nie znalazła niczego, czym mogłaby odstraszyć włamywacza. Najlepiej byłoby wczołgać się pod łóżko, ale na to było już za późno. W drzwiach pojawił się jakiś cień.

– Nie ruszaj się! – wychrypiała z sercem w gardle. – Mam broń!

Zdawało jej się, że usłyszała westchnienie. Intruz podszedł o krok bliżej.

– Tam, skąd przyjechałem, coś takiego nie nazywa się bronią, tylko pilotem do telewizora.

Głos był ochryply ze zmęczenia i doskonale znajomy.

– Kit!

Wyskoczyła z łóżka i rzuciła mu się w ramiona. Pochwycił ją w powietrzu i ułożył z powrotem na łóżku, nie przestając całować. Pachniał ziemią i środkami dezynfekującymi, ale pod tym wyczuwała jego własny zapach, zapach wytrawnego cedru, za którym tęskniła jak za narkotykiem.

– Myślałam, że wrócisz dopiero jutro.

– Już jestem – odszepnął.

Byli razem w łóżku i tylko to się liczyło. Twarz miał skrytą w cieniu, ale w półmroku dostrzegła stalowy błysk w jego oczach. Podniosła się na kolana, ściągnęła koszulkę i usłyszała ciche mruczenie, gdy jej ciało dotknęło jego ciała.

– Wszystko w porządku? – zapytała, drżącymi palcami rozpinając guziki jego koszuli.

– Tak. – Z jego piersi wydobył się prymitywny pomruk. Odsunął się, wyszarpnął koszulę ze spodni i ściągnął ją przez głowę. Smuga światła z ulicy wdarła się do pokoju przez szparę w zasłonach i oświetliła jego twarz. Sophie wstrzymała oddech.

– Jesteś ranny! Kit, twoja twarz!

– To nic takiego – mruknął, odwracając głowę. Objął ją i znów zaczął całować. Dotyk jego dłoni

na piersiach wystarczył, by zupełnie zapomniała o niepokoju i o stu pięćdziesięciu czterech dniach tęsknoty.

To wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Nie było szampana, seksownej nocnej koszulki, uwodzenia ani rozmowy, tylko dotyk i potrzeba tak wielka, że Sophie czuła się, jakby za chwilę miała się rozpaść na kawałki. Pomyślała, że czas na rozmowy przyjdzie później. Może jutro.

Opadli na łóżko i Sophie z uśmiechem wpatrzyła się w ciemność.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Obudził się nagle, z ciałem skurczonym z paniki, i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, gdzie jest. Było już jasno. Sophie leżała na boku, wtulona w niego, z jedną ręką na jego piersi. Chyba naprawdę spał. Po stu pięćdziesięciu czterech prawie całkiem bezsennych nocach wydawało mu się to małym cudem.

Przesunął się odrobinę, wyprostował zdrętwiałe ramiona i zatrzymał wzrok na jej twarzy. Była śliczna. Letnie słońce zaróżowiło jej kremowe policzki i upstrzyło nos piegami. Górna warga, nieco uniesiona na kształt łuku Kupidyna, była nabrzmiała od pocałunków. W tej chwili na tych ustach gościł lekki uśmiech. We śnie wydawała się spokojna i zadowolona. Jej na pewno nie śniły się zapomniane przez Boga i ludzi, zaminowane, pyliste drogi.

Promień słońca wpadający przez szparę między zasłonami zatrzymał się na jej gładkim ramieniu i rozświetlił rozrzucone po poduszce włosy. Kit wsunął palce między jedwabiste pasma, myśląc o chwili, kiedy leżał tak obok niej po raz ostatni. Prosił wtedy, żeby za niego wyszła. Jakim był głupim egoistą. Przecież wszystko mogło się zdarzyć. Przypomniał sobie dziewczynę Lewisa, jej przerażone oczy i wydatny brzuch. „Nawet nie znamy się za dobrze. Jeśli będzie kaleką, to będę musiała z nim zostać, prawda?”. A gdyby to on był na miejscu Lewisa? Byli ze sobą tylko przez trzy tygodnie. Trzy tygodnie. Jak mógł oczekiwać, że Sophie zostanie z nim do końca życia, skoro prawie jej nie znał?

Wypuścił lśniące pasmo włosów, przytrzymał dłoń przed oczami i rozpostarł palce. Lekko drżały i czuł w nich drobne ukłucia. Zwinął je w pięść i mocno zacisnął, aż kostki zbieleły pod opaloną skórą. Poczul ból naciągniętych ścięgien, ale nie udało mu się przezwyciężyć drętwienia ani odpędzić obrazów, które znów przesuwały mu się przed oczami. Powietrze nad drogą, drżące od upału. Ostre słońce odbijające się w oknach budynków. Dziwna cisza. Wszystko wydawało się zatrzymane w ruchu, zwolnione jak podwodny krajobraz. Nie potrafił opanować drżenia rąk. Kombinerki wysunęły się spomiędzy pozbawionych czucia palców, a tymczasem głos w słuchawce powtarzał, że zauważono snajpera. W następnej chwili usłyszał strzały.

Usiadł i zaklął pod nosem. Wrócił do domu, do Sophie. Dlaczego więc miał wrażenie, że wciąż jest na polu bitwy i że dzieli go od niej jeszcze większy dystans niż przedtem?

Sophie stanęła w drzwiach kuchni. Kit siedział przy stole nad kawą i stertą listów, które nadeszły podczas jego nieobecności. Ubrany był tylko w dzinsy. Ciało, od pasa w górę nagie, było opalone na mahoń.

– Cześć – wykrztusiła.

Podniósł głowę. Poranne słońce podkreślało skaleczenia i sińce na jego twarzy. Był wyczerpany i poobijany, ale piękny.

– Cześć.

– Jednak jesteś prawdziwy – westchnęła, nalewając wody do czajnika. – Myślałam, że tylko mi się to śniło. Puścili cię dzień wcześniej za dobre zachowanie?

– Niestety, nie. – Kit odłożył list, który właśnie czytał i przesunął ręką po wilgotnych od prysznic włosów. – Chłopak z mojego oddziału został wczoraj ciężko ranny. Przyleciałem razem z nim.

– Och, tak mi przykro. – Podeszła bliżej. – W jakim on jest stanie?

– W nie najlepszym – odrzekł bezbarwnie i znów skupił uwagę na liście. Czajnik na kuchence zaczął gwizdać. Sophie dotknęła twarzy Kita czubkami palców.

– Co się stało? – zapytała cicho. – Wybuch?

Przymknął oczy, jakby widział przed sobą coś, czego nie chciał pamiętać.

– Tak.

Przez chwilę myślała, że powie coś więcej, ale zaraz jego twarz znów zastygła. Sophie odsunęła krzesło i usiadła obok niego.

– Jak ciężko jest ranny?

– Na razie trudno powiedzieć. – Głos Kita wciąż był wyprany z emocji. – Chyba przeżyje, ale jeszcze nie wiadomo, jak poważne będą urazy. On ma dopiero dziewiętnaście lat.

– Taki dzieciak – wymamrotała. Czajnik wypuścił jeszcze jeden obłok pary, zasyczał i zamilkł. Sophie sięgnęła po dłoń Kita i poczuła pod palcami twardą skórę. – To dobrze, że przy nim byłeś. Na pewno bardzo mu to pomogło. Jego rodzinie też. Wiedzieli, że ktoś się nim opiekuje.

Urwała, gdyż Kit podniósł się gwałtownie.

– Chcesz kawy?

– Tak, proszę. – Poczula się urażona, ale starała się tego nie okazać. – Przepraszam, ale jest tylko rozpuszczalna. Miałam zamiar zrobić zakupy dzisiaj, przed twoim powrotem.

Pomyślała o wszystkich planach, które poczyniła na jego przyjazd. Chciała kupić jedzenie, które można byłoby jeść w łóżku: oliwki, przepiórcze jaja, chińskie przekąski i libańskie ciasteczka ze sklepu za rogiem, a także szampana, prawdziwą kawę, rogaliki i brioszki na śniadanie. Do tego, oczywiście, jedwabna koszulka. To była głupia, naiwna fantazja, w której Kit miał odgrywać rolę disnejowskiego księcia o oczach pełnych uwielbienia. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

– Co ty właściwie jadłaś przez ten cały czas? – zapytał cierpko. – Chciałem ci zrobić śniadanie, ale tu nic nie ma.

– Przeważnie jadałam na mieście – odrzekła lekko, podchodząc do dizajnerskiego chlebaka z nierdzewnej stali. – Ale zaraz, mamy chleb. – Otworzyła szafkę i wyciągnęła jakiś słoik. – No

i krem czekoladowy.

Kit poczuł wyrzuty sumienia. Widział, że uraził Sophie, chociaż bardzo się starała to ukryć pod maską nonszalancji. Popatrzył na nią i serce ścisnęło mu się z żalu. Lśniące włosy miała potargane, długie nogi wylaniały się spod starej koszuli w kratę, którą zapewne znalazła w jego szafie.

Łagodnie wyjął słoik z jej rąk, zajrzał do środka i uniósł brwi.

– To się naprawdę nadaje do jedzenia?

Wzruszyła ramionami i sięgnęła do szuflady po nóż.

– A co innego można z tym zrobić?

– Dziwię się, że w ogóle o to pytasz – mruknął, wyjmując nóż z jej ręki. Z poważną twarzą rozpiął guziki jej koszuli i posadził ją na szafce. W zielonych oczach Sophie błysnęło podniecenie. Powoli zanurzył nóż w brązowej mazi, a potem odsunął połę koszuli na boki i jednym zręcznym ruchem rozsmarował czekoladę na jej jasnej skórze. Czekolada i krem waniliowy, pomyślał. Zbliżył twarz do jej piersi i wszelkie porównania uleciały mu z głowy.

Czekolada była niemożliwie słodka i klejąca, nie pozwalała mu poczuć smaku skóry Sophie, więc nie podnosząc głowy, odkręcił kran za jej plecami, nabrał w dłoń trochę zimnej wody i polał jej piersi. Otworzyła szeroko oczy, gdy strużka zimnej wody spłynęła po jej skórze.

– Kit, to...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Gdy siedziała na granitowym blacie szafki, jej oczy znajdowały się na poziomie jego oczu. Oparł dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie. Nie musiał szukać słów; mógł jej pokazać, co czuje, w inny sposób.

Naraz ktoś zapukał do drzwi. Kit cofnął się i zaklął cicho.

– Nie otwieraj! – szepnęła.

To bardzo kuszący pomysł, pomyślał, patrząc na Sophie w rozpiętej koszuli i z nabrzmiałymi od pocałunków ustami. Przetarł ręką twarz i wziął się w garść.

– Muszę – powiedział żałośnie, idąc do drzwi. – Zamówiłem śniadanie, kiedy spałaś. W drodze wyjątku zgodzili się dostarczyć je do domu.

Zapięła koszulę i na drżących nogach zsunęła się z szafki. Z holu dobiegały przyciszone głosy. Jeden należał do Kita, drugi wydawał się jakoś znajomy. Bezwiednym ruchem sięgnęła po słoik z kremem czekoladowym. Wetknęła palec w krem, a potem przymknęła oczy i podniosła go do ust.

– Tutaj?

Głos przybliżył się. Sophie drgnęła i otworzyła oczy akurat w chwili, gdy w drzwiach pojawiła się znajoma twarz – tak znajoma, że zaczęła się zastanawiać, gdzie i kiedy poznała tego człowieka. Może to jakiś przyjaciel Jaspera?

– Cześć. Ty pewnie jesteś Sophie?

Mężczyzna z uśmiechem postawił na stole skrzynkę wyładowaną aluminiowymi pojemnikami

i wyciągnął do niej rękę.

– Bardzo dziękuję – powiedział Kit, stając w drzwiach kuchni z butelką szampana.

– Nie ma za co. Przynajmniej tyle mogę dla pana zrobić. Przez ostatnie pięć miesięcy był pan bohaterem. Dobrze widzieć, że wrócił pan cały i zdrowy. No, prawie. – Wskazał na rany od szrapnela.

Twarz Kita pociemniała.

– Jak idzie w restauracji? – zapytał gładko.

– Dziękuję, nieźle, choć przez ten program telewizyjny nie spędzam tam tyle czasu, ile bym chciał.

Właśnie wróciłem z filmowania kolejnego cyklu odcinków w Stanach.

Krew w żyłach Sophie zastygła. Dopiero teraz uświadomiła sobie, dlaczego ta twarz wydaje jej się znajoma. To był znany z telewizji kucharz, jeden z najlepszych w kraju, a ona stała przed nim w mokrej koszuli, która ledwie zakrywała jej tyłek, i wyjadała krem czekoladowy palcem ze słoika.

Ogłuszona, odstawiła słoik i spróbowała się schować za wielkim wazonem z kwiatami, które kupiła w Covent Garden. Na szczęście słynny kucharz szedł już do drzwi, rozprawiając z Kitem o interesach. W progu jednak zatrzymał się i spojrzał na nią jeszcze raz.

– Miło było cię poznać, Sophie. Kit musi cię któregoś dnia przyprowadzić do mojej restauracji.

Nigdy w życiu, pomyślała, kiwając głową z uśmiechem. Nie po tym, jak ją widział w takim stanie.

Ledwie zniknął, znów sięgnęła po słoik i gdy Kit wrócił do kuchni, wyjadała krem łyżeczką.

– Trzeba było mnie ostrzec – wymamrotała z pełnymi ustami.

– Przepraszam – mruknął. – Ale sam zupełnie o tym zapomniałem.

– To twój przyjaciel?

– To zależy, co rozumiesz przez słowo „przyjaciel”. Znam go dość dobrze, bo jego restauracja jest

tuż za rogiem i w ostatnich latach często tam bywałem – wyjaśnił i popatrzył na aluminiowe tacki w skrzynce. – Odstaw to słodkie obrzydlistwo. Mamy tu bajgle z wędzonym łososiem, racuchy z jagodami, migdałowe rogaliki, porządną kawę, no i oczywiście to. – Podniósł do góry butelkę szampana. – Wolisz zjeść tutaj czy w łóżku?

Opór Sophie stopniał, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– A jak sądzisz?

Szła powoli w stronę domu Kita, wiodąc ręką po żeliwnych ogrodzeniach. Torba pełna ekologicznej żywności z supermarketu przy King's Road obijała się o jej nogę. Wydawało jej się, że musi się jakoś zrehabilitować po porannym incydencie z czekoladą. Wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. W środku panowała cisza, ale teraz, gdy Kit był w domu, powietrze wydawało się naładowane elektrycznością. Było to jednocześnie podniecające i denerwujące. Weszła do kuchni, całej ze stali i granitu, i przypomniała sobie, jak mówiła Jasperowi, że chce mieć dom. Kwiaty, które



kupiła w przyпыwie optymizmu, stały pośrodku czarnego, granitowego blatu – barwna plama przełamująca męską monochromatyczność wystroju.

Ten dom był jej domem przez ostatnich pięć miesięcy, ale teraz, gdy Kit wrócił, naraz znów stał się jego domem, a ona tylko gościem. Nawet jej kwiaty wydawały się tu nie na miejscu, tak samo jak najzwyczajniejszy biały, krojony chleb w designerskim chlebaku i rozpuszczalna kawa w kubkach z drogiego sklepu. Bez entuzjazmu wyspała aromatyczną, świeżo mieloną kawę do ekspresu w nadziei, że przynajmniej to zrobi, jak trzeba. Ustawiła na tacy kubki i mleko w szarym dzbanuszkę, ale przyszło jej do głowy, że za bardzo się stara. Po chwili wahania zdjęła wszystko z tacy, przelała kawę bezpośrednio do kubków i poszła poszukać Kita.

Był na górze, w pokoju, którego używał jako gabinetu. Przystanęła na chwilę przy uchylonych drzwiach i zastukała niezręcznie.

– Tak?

– Zrobiłam kawę.

– Dziękuję. – Usłyszała w jego głosie rozbawienie. – Mam po nią zejść czy przyniesiesz?

– Nie chciałabym cię rozpraszać – mruknęła, pchnęła drzwi i weszła.

Biurko zarzucone było stertami listów, a z kosza wysypywały się koperty. Patrząc na Kita, Sophie znów poczuła przypyw pożądania i zarazem onieśmienie. Skaleczenia na policzkach były jeszcze świeże, sińce pod oczami wyraźne. Wydawał się zmęczony i poobijany.

– Hm. Właściwie masz rację – mruknął, przesuwając palcami po jej udzie pod sukienką w kwiaty, gdy pochyliła się, by postawić kubek na biurku. – Rzeczywiście mnie rozpraszasz.

Przysiadła na skraju biurka i popatrzyła na niego, zdeterminowana przeprowadzić chociaż jedną rozmowę, która nie zakończyłaby się orgazmem.

– Jest w tych listach coś ciekawego?

Kit wzruszył ramionami. Jego twarz nic nie wyrażała.

– Niewiele. Wyciągi bankowe i raporty dla udziałowców. Trochę informacji na temat Alnburgh. –

Po chwili wahania wygrzebał ze sterty jakiś list i wyciągnął w jej stronę. – No i to.

Rzuciła okiem na pierwsze linijki i zmarszczyła brwi.

– Co to jest?

– List od prawników Ralpa z Hawksworth. Polecono im przekazać mi tę wiadomość.

Wyciągnął ze stosu jeszcze jeden kawałek papieru i rzucił na biurko. Coś w jego ruchach powiedziało Sophie, że ten list jest ważny, chociaż jego twarz w dalszym ciągu była nieprzenikniona. Wzięła do ręki grubą, jasnoniebieską kopertę. Charakter pisma był równy i pochyły, wyraźnie należał do osoby, która przywykła pisać listy ręcznie zamiast wysyłać esemesy czy mejle.

„Mój drogi Kicie,

wiem, że ten list Cię zaskoczy i po tych wszystkich latach nie mam złudzeń, że będzie to przyjemna niespodzianka. Muszę jednak odłożyć na bok swoje obawy i zająć się wreszcie sprawami, którymi powinnam się zająć już dawno”.

Serce Sophie zaczęło bić szybciej. Podniosła wzrok na Kita, ale on w dalszym ciągu przeglądał pocztę, wyraźnie nie życząc sobie komentarzy, toteż czytała dalej:

„Przepraszam Cię. To pierwsza rzecz, jaką chcę Ci powiedzieć, choć wiem, że te słowa nie wystarczą, a poza tym jest już za późno. Tak wiele chciałabym do nich dodać. Jest mnóstwo rzeczy, które chciałabym Ci wyjaśnić z własnych, egoistycznych powodów, z nadzieją, że zrozumiesz i być może nawet wybaczysz. Są również rzeczy, o których muszę Ci powiedzieć dla Twojego dobra – sprawy, które mają wpływ na Twoje życie i będą wpływać na życie Twojej rodziny w przyszłości.

Nie zamierzam naciskać, byś mi odpowiedział, ani wywierać na Ciebie żadnej presji. Mój adres znajdziesz w nagłówku tego listu. Dołączam tylko bardzo serdeczne i szczere zaproszenie. Możesz mnie odwiedzić w każdej chwili, kiedy będzie Ci to odpowiadało, decyzję pozostawiam jednak Tobie. Chciałabym tylko, żebyś wiedział, jak wiele by to dla mnie znaczyło, gdybym mogła Cię znów zobaczyć.

Pozostaję w nadziei,

Twoja matka Juliet Fitzroy”.

Sophie powoli odłożyła list. W głowie jej wirowało.

– Twoja matka chce, żebyś przyjechał się z nią zobaczyć? – zapytała głupio.

Kit wrzucił do kosza kolejną kopertę.

– Na to wygląda, mój drogi Holmesie.

– Pojedziesz? – Drżącymi rękami jeszcze raz rozłożyła list, żeby sprawdzić, gdzie Juliet Fitzroy mieszka. – Imlil – przeczytała z zaskoczeniem, a potem popatrzyła na kolejną linijkę adresu. – O rany.

W Maroku?

– No właśnie – potwierdził Kit znudzonym tonem, wyrzucając list do kosza w ślad za kopertą. – To nie jest tylko parę przystanków autobusem. Nie mam pojęcia, co mogłaby mi takiego powiedzieć, żeby warto było jechać tak daleko.

Sophie dotknęła palcem ust. Maroko. Upał, piasek i szarawary. Prawdę mówiąc, wiedziała o tym kraju tylko tyle, że zawsze podobała jej się jego nazwa i że w tej chwili wolałaby być tam niż w Chelsea. Atmosfera tego domu zdawała się przytłaczać ich oboje.

– Zawsze chciałam pojechać do Maroka – stwierdziła z wielkim żalem. – Jak to się stało, że ona tam zamieszkała? I dlaczego teraz, po tylu latach, zdecydowała się na kontakt z tobą?

– Pewnie dlatego, że jej tajemnica wyszła na jaw po śmierci Ralpa. – Kit notował coś na marginesie wyciągu bankowego. – Może chce, żebym poznał mojego prawdziwego ojca, o ile w ogóle wie, kim on jest? Sądzę, że mogą być tysiące kandydatów.

Sophie zsunęła się z biurka i podeszła do biblioteczki po drugiej stronie pokoju, rozmyślnie odwracając się plecami do Kita.

– Nie ma tysięcy kandydatów. – Wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy. – Ona wie, kim jest twój ojciec.

Zapadło milczenie. Sophie zatrzymała wzrok na fotografii, która stała obok książek o tematyce militarnej i grubych tomach poświęconych polityce na Bliskim Wschodzie. To był Kit, jakiego nie знаła. Stał przed wojskową ciężarówką, otoczony przez grupę mężczyzn w panterkach.

– Skąd wiesz? – Głos Kita był złowieszczo miękki. Sophie odwróciła się.

– Pamiętasz tamten dzień w Alnburgh, kiedy zachorowałam? – Dostała wówczas okres i była na to zupełnie nieprzygotowana. Kit musiał przejąć kontrolę nad sytuacją. Uśmiechnęła się blado. – Zaprowadziłeś mnie do biblioteki, a sam pojechałeś do sklepiku w wiosce.

– Pamiętam. – Jego głos był zimny jak stal. Uśmiech Sophie przygasł. – No i?

– Czekaając na ciebie, przeglądałam książki. – Znowu podeszła do niego i oparła się o biurko. Miała ochotę dotknąć Kita, ale nie potrafiła się na to zdobyć. – Znalazłam jakiś stary tom Georgette Heyer. Bardzo ją lubię, więc wyjęłam książkę z półki i otworzyłam. Wypadł z niej list. – Popatrzyła na swoje ręce. – To był list miłosny. Zaczynał się od „Moja droga Juliet”.

Kit nie patrzył na nią, lecz na okno zasłonięte listewkami żaluzji, które rzucały cienie na jego pokaleczoną twarz. Wyglądał przez to, jakby był zamknięty w klatce. Gdy nie odezwał się przez dłuższą chwilę, Sophie znowu zaczęła mówić:

– W pierwszej chwili pomyślałam, że to list od Ralpa i bardzo się zdziwiłam. Był piękny i romantyczny, pełen namiętności i czułości. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by Ralph mógł coś takiego napisać.

– Zatem od kogo był ten list?

– Nie wiem. Nie był podpisany.

Kit wstał i odszedł kilka kroków.

– To skąd wiesz, że nie był od Ralpa?

– Bo był o tobie – powiedziała Sophie cicho i również się podniosła. – Musiałeś być jeszcze wtedy małym dzieckiem, a ten ktoś dopiero cię odwiedził. Pisał o tym, jakie to było bolesne, że musiał cię zostawić, wiedząc, że to Ralpa będziesz zawsze uważał za swojego ojca.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – zapytał Kit lodowato.

– Wtedy to jeszcze nie była moja sprawa. Od razu wiedziałam, że nie powinnam tego czytać. Nie

znaliśmy się jeszcze na tyle dobrze, żebym mogła ci o tym powiedzieć. A później po prostu jakoś nie było okazji – urwała i nerwowo oblizwała usta. – Nie wiem, Kit. Czasami wydaje mi się, że teraz wcale nie znamy się lepiej niż wówczas.

Czekała na jego odpowiedź z zaciśniętym gardłem. Stał zwrócony do niej plecami, ramiona miał sztywne, jakby wyciosane z granitu. W końcu westchnął i część napięcia uleciała z jego ciała.

– Przepraszam. – Odwrócił się i spojrzał na nią. – Po prostu nic nie rozumiem. Dlaczego, do diabła, nie mogła po prostu porzucić Ralpha, odejść z tym kimś, kimkolwiek on był, i zabrać mnie ze sobą?

W jego głosie brzmiała gorycz. Sophie wzruszyła ramionami.

– Może właśnie to chce ci wyjaśnić. – Podeszła do niego, wspięła się na palce i lekko pocałowała go w usta. – Pojedźmy tam. Pojedźmy do Maroka i dowiedzmy się.

## ROZDZIAŁ TRZECI

I tak oto, z charakterystyczną dla siebie jasnością umysłu, Sophie podjęła decyzję, że pojedą w odwiedziny do Juliet. Teraz Kit musiał tylko zorganizować podróż. Gdyby nie ona, po prostu wyrzuciłby list do kosza razem z całą resztą śmieci, tak jak już dawno wyrzucił z serca matkę, która opuściła go, kiedy miał sześć lat, obiecując, że wróci. Ta niedotrzymana obietnica chyba bardziej niż sam fakt porzucenia zasiała w nim ziarno nieufności, z którego przez lata wyrósł las cierni otaczający jego serce. Jedynie Sophie potrafiła się prześlizgnąć między kolczastymi gałęziami. Podobnie wtedy, gdy pokazał jej list, prześlizgnęła się między złością i goryczą i sprawiła, że wszystko stało się proste i oczywiste: chodziło o fakty, nie o emocje. Dziwne, że spośród wszystkich ludzi akurat jemu trzeba było o tym przypominać.

– Pierwsza klasa? – zdziwiła się, gdy skierował ją w stronę holu pasażerskiego na lotnisku.

– Obawiam się, że nie tym razem – odpowiedział poważnie.

Podeszła do nich hostessa przypominająca lalkę Barbie.

– Major Fitzroy? Proszę iść za mną. Samolot już czeka.

Wyszli na płytę lotniska. Na widok małego odrzutowca Sophie szeroko otworzyła usta.

– Matko Boska!

Kit nie potrafił się powstrzymać. Pochylił się i pocałował jej uśmiechnięte usta.

– Majorze Fitzroy... – Obydwoje zauważyli pilota dopiero w chwili, kiedy koło nich stanął. Kit powoli podniósł głowę, ale zatrzymał dłoń na plecach Sophie. – Miło cię widzieć, Kit. – Pod ciemnymi okularami pilota pojawił się szeroki uśmiech. – Chciałbym powiedzieć, że dobrze wyglądasz, ale...

Kit skinął głową i odruchowo podniósł rękę do skaleczeń na twarzy.

– Twoja szczerłość znacznie przewyższa twój naturalny urok, McAllister – mruknął.

Pilot spoważniał.

– Wróciłeś właśnie z turnusu?

– Dwa dni temu.

– Nie zazdroszczę. To piekło na ziemi. A po powrocie do domu jest jeszcze gorzej.

Kit gładko zmienił temat.

– Nick, poznaj Sophie Greenham. Sophie, to jest Nick McAllister, mój stary przyjaciel.

– To zwykłe pochlebstwo – uśmiechnął się pilot, mocno potrząsając dłonią Sophie. – Nie byłem na tyle ważny, by móc się uważać za przyjaciela majora Fitzroya. Służyliśmy razem w kilku nieciekawych miejscach. W końcu miałem tego dość. Ożeniłem się i teraz mam miłą, bezpieczną

pracę.

– Nie tęskni pan do tamtych czasów? – zapytała Sophie. Nick sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie, a poza tym należało być miłym dla człowieka, z którym miało się przelecieć całą Europę.

– Nawet przez chwilę, ale ja nie jestem takim bohaterem jak Kit. Odejście z wojska było najlepszą decyzją w całym moim życiu. A poza tym żona zgodziła się za mnie wyjść tylko pod warunkiem, że rzucę tę pracę. Za kilka dni ma urodzić nasze drugie dziecko.

– Gratuluję – powiedziała Sophie dziwnym, piskliwym głosem. Na szczęście Kit już szedł w stronę samolotu.

– W takim razie lećmy, bo inaczej urodzi, kiedy pan będzie jeszcze w Marrakeszu.

Kabina niewielkiego samolotu była najbardziej luksusowym miejscem, jakie Sophie kiedykolwiek widziała. Wszystko utrzymane było w tonacji kremowo-karmelowej, nawet stewardesa, która, gdy ledwo wzbili się w powietrze, przyniosła im szampana i truskawki. Sophie poczuła się jak w filmie z Jamesem Bondem.

– Lubisz się popisywać – zauważyła z szerokim uśmiechem, gdy stewardesa znów zniknęła za zasłoną. – Ale wiesz chyba, że nie zrobisz na mnie wrażenia tym prywatnym odrzutowcem. Pomyśl o ekologii. Nie dręczą cię wyrzuty sumienia?

– Lata praktyki. Słyszałem, że recesja uderzyła w firmę i altruistycznie przedłożyłem dochody Nicka nad własne poczucie winy.

– Mówisz jak prawdziwy bohater. – Sophie rozparła się wygodnie w wielkim fotelu pokrytym kremową skórą i rozejrzała się po kabinie. – Ale on chyba jest zadowolony ze swojej decyzji – dodała lekkim tonem, obracając w palcach truskawkę. – Czy ty kiedykolwiek myślałeś?

– Żeby zmienić zawód i się ożenić? – mruknął Kit z udawanym oburzeniem. – W tych czasach?

Sophie omal nie zakrzuszyła się szampanem, ale twarz Kita zaraz spoważniała.

– Owszem, myślałem. Nie chcę tam wracać. Pytanie brzmi: czy ty wciąż chcesz za mnie wyjść?

Pod nimi rozciągało się roziskrzone słońcem morze. Sophie poczuła uniesienie. Właśnie taka rozmowa była niemożliwa w wielkim, pustym domu w Chelsea. Tu, na górze, było zupełnie inaczej, tu mogła być sobą.

– Oczywiście, że tak. O ile ty tego chcesz – dodała szybko.

Odstawił kieliszek na drewnianą półkę i popatrzył jej w oczy.

– Chodź tu.

Miała na końcu języka coś o pasach, ale przypomniała sobie, że tego typu przepisy nie obowiązują w prywatnych samolotach. Usiadła bokiem na jego kolanach, przewieszając stopy przez poręcz fotela.

– Wiesz przecież, że nie chodzi mi o papierek – powiedziała cicho. – Wiem, że pięć miesięcy to

dużo czasu i że mnóstwo się wydarzyło. Byłeś daleko i... przyszło mi do głowy, że może zastanowiłeś się i doszedłeś do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł.

Przymknął oczy i wziął głęboki oddech. Podjął decyzję poprzedniego ranka, gdy obudził się obok Sophie i dotarło do niego, że właściwie są sobie obcy. To, co zdarzyło się Lewisowi, równie dobrze mogło się zdarzyć jemu, a teraz stawką w tej rosyjskiej ruletce było już nie tylko jego życie. Ale gdy poczuł przy sobie jej ciało, jej miękkie włosy przy swoim policzku, tamta decyzja stała się zupełnie nieistotna. Od samego początku instynkt kazał mu uznać tę kobietę za swoją i nigdy jej nie wypuszczać.

– Nie zmieniłem zdania. – Wziął ją za rękę i pogładził serdeczny palec. – Muszę jak najszybciej kupić ci pierścionek, żeby takie rzeczy nie przychodziły ci więcej do głowy.

– Pierścionek? Fantastycznie! Kiedy?

Kit nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Nawet jutro, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że kupię ci go w jakimś zaułku na suku i że będzie kosztował tyle co kieliszek wina w pubie w Chelsea. Chyba że wolisz poczekać, aż wrócimy do domu.

Uciszyła go pocałunkiem w kącik ust.

– Nie mam nic przeciwko temu, ale nie chodzi mi o pierścionek. Pytam, kiedy możemy wziąć ślub? Czy możemy to zrobić zaraz po powrocie do domu?

Kit sięgnął po kieliszek.

– Chyba musimy najpierw dostać licencję i znaleźć odpowiednie miejsce na wesele.

Sophie przesunęła się nieco i usiadła okrakiem na jego kolanach, zwrócona do niego twarzą.

– To chyba nie powinno zająć dużo czasu? – zapytała, unikając jego wzroku. – To znaczy, mam nadzieję, że nie chcesz mieć wielkiego ślubu z milionem druhen, tortem wielkości Everestu i trzema setkami gości?

– Zdawało mi się, że każda dziewczyna o tym marzy.

Sophie wzdrygnęła się.

– Ja nie! Chyba że ty masz dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu przyjaciół, których musisz zaprosić. Po mojej stronie kościoła będzie tylko Jasper.

– Naprawdę nie chcesz zaprosić nikogo z rodziny?

Jej oczy pociemniały i przybrały kolor ciemnozielonego szkła.

– Nie mam rodziny. A już na pewno nie mam ojca, który mógłby poprowadzić mnie przez kościół i wygłosić wzruszającą przemowę o tym, jak z dziecka stałam się kobietą.

Mówiła lekkim tonem, czuł jednak napięcie w jej ciele i wiedział, że nie wyciągnie od niej niczego więcej. Delikatnie przesunął palcem po jej policzku.

– Masz matkę – powiedział cicho. – A większość matek marzy o dniu ślubu swoich córek.

Zsunęła się z jego kolan i sięgnęła do wiaderka z lodem po butelkę.

– Moja matka nie jest taka jak większość matek – powiedziała z ironią, dolewając sobie szampana.

Zrobiła to zbyt szybko i piana przelała się przez brzeg kieliszka. – O rany! Przepraszam.

– W porządku, zostaw to. – Kit wyjął z jej rąk butelkę i kieliszek. – Dlaczego twoja matka nie jest taka jak inne matki?

– Zaczniemy od tego, że nigdy nie mogłam mówić do niej „mamo”. Ani „mamusiu”. Takie słowa oznaczałyby dla niej zaszufladkowanie w wąską przegródkę stereotypów płciowych, które niosą ze sobą polityczne i społeczne konotacje z podległością i uciskiem. – Przewróciła oczami.

– To jak do niej mówiłaś?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Rainbow, tak jak wszyscy.

– Tak ma na imię?

– Odkąd pamiętam, kazała się tak nazywać. Dopiero kiedy miałam piętnaście lat i zamieszkałam z ciotką Janet, odkryłam, że tak naprawdę ma na imię Susan.

– To dlaczego kazała się nazywać Rainbow?

– Pewnie z tego samego powodu, z którego mnie nazywała Summer. Te imiona pasowały do hipisowskiej komuny. Od razu było widać, że jesteśmy inne, wolne i alternatywne. Jej zdaniem to była zaleta.

– Ale twoim nie.

– No, proszę cię! – jęknęła. – Wyobraź sobie, jak się czułam, kiedy jako jedyna w całej szkole musiałam nosić ręcznie robiony sweter we wściekle jaskrawe paski i ogrodniczki pozszywane ze skrawków materiałów. Inne dziewczyny chodziły w szarych spódnicach i granatowych swetrach. Wszystko dlatego, że według mojej matki każdy człowiek ma prawo do indywidualności.

Kit wyobraził sobie tę matkę: Rainbow, feministka, walcząca o pokój i wolna duchem. Pomyślał, że żadna z tych cech nie jest zła. Pod desperacją Sophie wyczuwał prawdziwą miłość.

– W każdym razie twoja matka była przy tobie – powiedział sucho.

– Była, chociaż często wolałabym, żeby jej nie było. – Uśmiechnęła się, pokazując dołki w policzkach i dając mu do zrozumienia, że ma dość tej poważnej rozmowy. Słońce za oknami samolotu przestało już oślepiać i przybrało odcień starego koniaku. Kit nie był artystą ani fotografem, chociaż patrząc na Sophie, która oparła podbródek na dłoni, żałował, że nie jest jednym albo drugim.

– To kiedy się z nią spotkamy? To znaczy, z Juliet?

– Jutro wieczorem – skrzywił się. – Proponowała, żebyśmy się u niej zatrzymali, ale wolałem odmówić i zarezerwowałem hotel w Marrakeszu. Pojedziemy do niej na kolację.

– Jak przebiegła ta rozmowa?



Kit zastanowił się. Dziwnie się poczuł, słysząc głos matki, ale było to zupełnie abstrakcyjne wrażenie. Nie poruszyło jego emocji.

– Była krótka i na temat. Mam nadzieję, że spotkanie też takie będzie. Tu nie chodzi o nią ani o nasze relacje. Chcę tylko, żeby mi wyjaśniła kilka rzeczy.

– Na temat twojego ojca?

– Tak.

Sięgnął po kieliszek z szampanem. Czubki palców znów miał odrętwiałe i czuł w nich pieczenie.

To wrażenie pojawiało się i znikало, ale nie miał żadnych wątpliwości, że po raz pierwszy pojawiło się niedawno, po tym, jak dowiedział się, że Ralph Fitzroy nie jest jego prawdziwym ojcem. Na szczęście nie musiał mówić nic więcej, bo w kabinie pojawiła się stewardesa z tacą kanapek.

– Kapitan McAllister ma nadzieję, że lot przebiega przyjemnie. Za godzinę wylądujemy na lotnisku Menara w Marrakeszu.

Sophie wyciągnęła nogę i jej naga stopa otarła się o jego kolano.

– Dziękuję – powiedział Kit do stewardesy. – Proszę go zapytać, czy może lecieć trochę szybciej.

Wyszli z samolotu w fioletoworóżowy wieczór. Nick czekał na nich na płycie. Umówili się, że Kit skontaktuje się z nim, by uzgodnić szczegóły lotu powrotnego.

– Życzę przyjemnego pobytu w Maroku – uśmiechnął się do Sophie.

– Na pewno taki będzie. – Już jej się tu podobało. Powietrze było ciepłe i gęste jak zupa, pełne nieznanymi aromatami. Wzięła głęboki oddech i impulsywnie uściśniła pilota. – Dziękuję, że nas pan tu przywiózł.

Wnętrze budynku terminalu przypominało fantastyczną katedrę. Kit siedł przed nią. Wymienił pieniądze w kantorze, wsunął plik dirhamów do tylnej kieszeni dżinsów i wyprowadził ją na zewnątrz, gdzie już czekał przysłany z hotelu samochód. Smukły i lśniący, wyróżniał się na tle poobijanych, zakurzonych taksówek. Sophie wsunęła się do środka z nieśmiałym uśmiechem.

Jechali szerokimi ulicami, które pomimo późnej pory wciąż były zatłoczone. Zmierzch rozjaśniały sznury światełek zawieszonych pod markizami straganów i blask żaru na żeliwnych rusztach. W smugach dymu światła rozmywały się w świetliste halo, które rozjaśniało twarze handlarzy i nadawało całej scenie teatralny wymiar. Nawet w samochodzie czuć było zapach mięsa pieczonego na węglu drzewnym i słyszeć było szybki, szaleńczy rytm, który zapadał głęboko w umysł Sophie, zgrywając się z biciem jej serca.

– Dżamaa al-Fina – wyjaśnił Kit. – Słynny plac.

– Wsiądźmy – poprosiła bez tchu. – Chcę to zobaczyć.

Kit powiedział coś do kierowcy i samochód zatrzymał się na skraju ulicy. Sophie natychmiast sięgnęła do klamki. To miejsce nie przypominało niczego, co widziała wcześniej. Rytm wygrywany

na bębenkach wywoływał dreszcze na plecach, a ciepło nocy zdawało się roztopiać kości. Sophie instynktownie kołysała biodrami i uśmiechała się w mroku. Idący za nią Kit zarzucił ramię na jej szyję i przyciągnął ją do siebie.

– Zwolnij, Cyganko – wymruczał w jej włosy. – Nie chciałbym cię zgubić.

Była jak kameleon, w każdym miejscu potrafiła się wtopić w otoczenie. Pomyślał o kobietach, z którymi spotykał się wcześniej – w drogich butach, z wypielęgnowanymi włosami – wyobraził sobie, jak wyglądałyby w tym miejscu i uśmiechnął się lekko.

– Chodź, głodna jestem. – Pociągnęła go za rękę. Jej entuzjazm był zaraźliwy.

– Co masz ochotę zjeść?

Musiał się pochylić i mówić prosto do jej ucha, żeby go usłyszała w tym zgiełku.

– Czy gdzieś tu sprzedają krem czekoladowy? – zapytała niewinnie.

– Przestań – ostrzegł.

Roześmiała się i ruszyła między straganami. Włosy spływały jej luźną falą po plecach. Oglądała barwne owoce, złociste krewetki smażone w głębokim tłuszczu i małe ciasteczka. Kit właściwie nie zauważał jedzenia. Przez cały czas patrzył na jej okrągłą pupę pod płóciennymi spodniami, o wiele bardziej kuszącą niż granaty i melony.

Dotarli do niewielkiego placu, na którym stała grupa muzyków z bębnami i piszczałkami. Przed nimi tańczyły kobiety w jedwabnych sukniach. Sophie zwolniła. Ze wszystkich stron otaczał ją aromatyczny dym. W światłach zawieszonych pod markizami jej skóra lśniła złotem.

– Nie wiem, od czego zacząć. Wszystkiego chciałabym spróbować.

– A na co masz ochotę?

Spojrzała mu w oczy i wzruszyła ramionami.

– Wszystko jedno. Na coś, czego jeszcze nie jadłam.

Oderwał od niej wzrok. Znad straganu naprzeciwko unosiły się kłęby dymu. Były tam wszelkie możliwe lokalne specjały. Mężczyzna stojący za straganem układał małe kiełbaski na gorącym grillu. Kit powiedział do niego kilka słów i mężczyzna z aprobatą podniósł wzrok na Sophie.

– Co zamówiłeś? – zapytała.

– Poczekaj, a zobaczysz. Zamknij oczy.

Z wahaniem zrobiła, o co ją prosił. Hałas dookoła niej wzmógł się, a zapach cedrowego dymu, przypraw, mięsa, czosnku i gorącego słonego chleba stał się jeszcze intensywniejszy. Do tej symfonii aromatów dołączył się jeszcze zapach skóry Kita, który podniósł rękę do jej ust.

– Jesteś gotowa?

Skinęła głową, przepelniona szczęściem. Była zakochana w tej chwili, w tym miejscu, w tym mężczyźnie. Wszystko wydawało się niemal boleśnie cudowne. Powoli otworzyła usta. Poczowała zapach chili i mocny korzenny smak na języku. Odgadła, że była to jedna z małych kiełbasek, które

sprzedawca układał na grillu.

– Mmm... Fantastyczne – wymamrotała i przełknęła.

– Jeszcze. Nie otwieraj oczu.

Zacisnęła powieki, powstrzymując uśmiech.

– Otwórz usta.

Wrzucił jej na język oliwkę. Przez chwilę przytrzymała ją między zębami, rozkoszując się dotykiem skórki, a potem przegryzła i nastąpiła eksplozja aromatu. Następny był kęs zbitego, suchego pulpecika jagnięcego, a potem plasterk pomidora, śliski od oliwy i listków mięty. Przytrzymując się metalowego drążka straganu, z zamkniętymi oczami, mrużąc z aprobatą, poddawała się kolejnym wrażeniom i aromatom. Oliwa skapywała jej po brodzie. Ze wszystkich stron otaczała ich muzyka, odgłos bębnow i ciepłe, przesiąknięte dymem powietrze.

– Wystarczy już? – zapytał. Usłyszała w jego głosie rozbawienie i potrząsnęła głową.

– Jeszcze.

Teraz już szybciej karmił ją mięsem tak miękkim, że roztopiało się w ustach, krewetkami w panierce i chrupką kałamarnicą. W następnej kolejności dał jej kawałek chleba posmarowany czymś ostrym, od czego zdrętwiały jej usta.

– Coraz lepiej – wymamrotała.

– A to? Otwórz usta szeroko.

Na jej język spłynął sok o smaku kminu i czosnku, a w chwilę później coś lekko dotknęło jej warg.

Rozchyliła je, próbując pochwycić to coś między zęby, ale Kit odsunął rękę i usłyszała jego niski śmiech. Wystawiła język i udało jej się złapać to coś razem z jego palcami. Smak nie przypominał niczego, czego próbowała wcześniej. Było to miękkie, ale jednocześnie dziwne twarde i miało ziemny posmak, którego nie potrafiła z niczym skojarzyć. Przełknęła i zapytała:

– Co to takiego?

Pochylił głowę i jego usta dotknęły jej ucha.

– Ślimak.

– Naprawdę? – zdumiała się.

– Skoro nie miałaś nic przeciwko baraniej głowie...

Ze śmiechem pochwycił ją za rękę, zanim zdążyła go uderzyć. Dopiero teraz zauważyła tłum miejscowych w długich szatach, zaciekawionych turystów i muzyków, którzy otaczali ich kręgiem. Straganiarz wyszedł zza swojego straganu i uścisnął jej dłoń, zachwycony darmową reklamą. Podniosła wzrok na Kita, uśmiechnęła się słodko i powiedziała tak cicho, by nikt inny nie mógł usłyszeć:

– Będziesz miał kłopoty, kiedy dotrzemy do hotelu.

– Już się nie mogę doczekać – błysnął zębami w uśmiechu.

Muzycy znów zaczęli grać. Na środek wyszła tancerka z twarzą do połowy zasłoniętą. Oczy miała ciemne, ciepłe i rozmarzone. Wyciągnęła ręce do Sophie. Ta ujęła jej dłonie i przez ramię spojrzała na Kita.

– Chyba będziesz musiał...

Nie kończąc zdania, zrzuciła buty, związała poły koszuli w węzeł, odsłaniając brzuch, uniosła ramiona nad głowę i zaczęła poruszać biodrami, naśladując Berberyjkę. Kit poczuł, że uśmiech zastęga mu na twarzy. Brakowało jej technicznej precyzji, ale jej ruchy były niesłychanie zmysłowe.

Krąg patrzących zagęścił się. Muzycy dostosowywali rytm do ruchów ciał dwóch kobiet – jednej osłoniętej i tajemniczej, drugiej ognistej i zmysłowej. Kit nie mógł oderwać oczu od brzucha Sophie.

Nie był w stanie czekać dłużej. Podszedł do niej, objął ją wpół i przygarnął do siebie jednym zdecydowanym ruchem. Nie stawiała oporu. Przechyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego oczami lśniącymi jak czarne diamenty.

– Chyba musimy znaleźć hotel – powiedział ponuro, odciągając ją od klaszczącego tłumu.

Sophie przycisnęła usta do jego szyi.

– Już myślałam, że nigdy tego nie powiesz.

Samochód zatrzymał się przed zwyczajnie wyglądającym budynkiem. Prawie całą frontową ścianę zajmowały wielkie, łukowo sklepione drewniane drzwi. Po obu ich stronach rosły drzewka cytrynowe. Kierowca wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć im drzwi.

– Ja to zrobię – mruknął Kit.

Zanim zdążyła zapytać, co ma na myśli, wysiadł z samochodu i szybko przeszedł na jej stronę. Pochylił się, jednym ramieniem objął jej plecy, drugie wsunął pod kolana i wziął ją na ręce.

– Kit, mogę...

– Cicho.

– Czy chcesz mnie użyć jako żywej tarczy?

Uśmiechnął się przelotnie. Szofer otworzył przed nimi połówkę ogromnych drzwi. Dalej znajdował się dziedziniec. Otaczające go ze wszystkich stron kolumny z białego kamienia w niebieskawym mroku wyglądały jak polukrowane. Przy dłuższym boku dziedzińca ciągnął się basen, a za nim majaczyły następne łukowe drzwi. Padające przez nie światło odbijało się złotymi refleksami od wody. Na kolumnach wisiły latarnie ze świecami w środku. Gdy Kit je mijał, płomienie na chwilę przygasaly, jakby kłaniając się przed nim.

W drzwiach stanęła kobieta o niezwyklej urodzie. Długie czarne włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały twarz w kształcie serca. Ubrana była w coś, co wyglądało jak zwykła płócienna koszula.

To wszystko przypominało Sophie baśnię z tysiąca i jednej nocy. Nie zdziwiłaby się, gdyby tuż przed

nią wylądował dżin na latającym dywanie.

– Witamy w Dar Roumana – powiedziała kobieta.

– Nazywam się Kit Fitzroy i mam tu rezerwację. Moja żona nie czuje się najlepiej. Może zaprowadzi nas pani do pokoju, a ja później dopełnię formalności.

– Oczywiście.

Sophie przygryzła wargę, żeby powstrzymać uśmiech. Poszli do recepcji, również oświetlonej latarniami. Kobieta zdjęła z haczyka na ścianie duży srebrny klucz i poprowadziła ich krętymi schodami na wysoką kamienną galerię otaczającą dziedziniec. Małutkie świece w szklanych pojemnikach, poustawiane na schodach, rzucały na ściany ruchome cienie.

Kobieta otworzyła drzwi pokoju i cofnęła się.

– Pokój jest tutaj. Mam na imię Malika. Jeśli będą państwo czegoś potrzebować...

– Bardzo dziękuję – powiedział Kit krótko. – Ale na razie nie potrzebujemy niczego.

– Skoro pańska żona źle się czuje, może przyniosę miętową herbatę?

– Dziękuję, ale nic mi nie jest – pisnęła Sophie. – Muszę się tylko położyć.

Malika wycofała się, cicho zamykając za nimi drzwi.

Z minaretów w całym mieście rozlegało się wezwanie do modlitwy – wysokie zawołanie, a potem refren przebijający się przez mglisty świt. Kit otworzył oczy i jednym ruchem usiadł na łóżku. Serce biło mu mocno, skórę pokrywał lodowaty pot. Pokój skąpany był w różowym świetle świtu. Obok niego spała Sophie. Przykryta białym prześcieradłem, wyglądała jak bogini płodności z jakiegoś rokokowego fresku. Zatrzymał wzrok na jej unoszących się w oddechu piersiach i panika ustąpiła.

Marrakesz. Przypomniał sobie. Jest w Marrakeszu, a nie na służbie.

Odetchnął głęboko i znów opadł na poduszki. Mrowienie w czubkach palców powróciło. Wciąż słyszał muezina. Błagalna modlitwa cofnęła go w czasie, przywiodła wspomnienia, od których ostatniej nocy udało mu się odciąć.

Wyskoczył z łóżka i rozejrzał się za telefonem. Bardzo chciał zapomnieć o upale, spoconej skórze i życiu na adrenalinie. O drodze prowadzącej do mostu, gdzie wśród chaszczy i śmieci ukryta była bomba. Ale Lewis... Jakie miał prawo zapomnieć o Lewisie?

– Kit? – Głos Sophie był ciepły i gęsty jak miód.

– Wszystko w porządku. Śpij dalej. – Wyciągnął telefon z kieszeni dżinsów i podszedł do drzwi na taras. – Muszę zadzwonić, a potem zamówię śniadanie.

Obróciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce, wciąż ciepłej i pachnącej Kitem. Była szczęśliwa. Przed nią rozciągał się cały dzień pełen obietnic. Za ścianami hotelu wyczuwała miasto, które oczarowało ją już poprzedniego wieczoru.

Uśmiechnęła się i znów zapadła w sen.

Słońce było już wysoko na niebie, jednolicie niebieskim jak kafelki ozdabiające ściany budynków i małych kafejek na zakurzonych ulicach. Na głównym placu miasta nie pozostał już nawet ślad po wczorajszych straganach. Teraz ich miejsce zajęli uliczni performerzy, zielarze, akrobaci i sprzedawcy soku pomarańczowego. Sophie chłoneła wszystko, rozglądając się dookoła szeroko otwartymi oczami. Miała na sobie wąską, sięgającą do kostek sukienkę z białego muślinu, włosy związane w luźny węzeł z tyłu głowy i dzwoniące mosiężne bransoletki. Wyglądała, jakby się tu urodziła.

– Przypomina mi to festiwale muzyczne, na które jeździłam z matką w dzieciństwie – powiedziała, splatając palce z palcami Kita. – Popatrz, jest nawet tarocista! Rainbow byłaby zachwycona.

Nie odpowiedział. Jemu przypominało to miejsce, z którego właśnie wyjechał, miejsce, gdzie krew Lewisa wsiąkała w piasek. Pielęgniarka powiedziała mu przez telefon, że stan chłopaka się nie zmienił. Wciąż utrzymywano go w śpiączce farmakologicznej, żeby ciało miało szansę się zregenerować. Nie sposób było przewidzieć długoterminowych skutków obrażeń. Powiedziała, że może jutro będą coś wiedzieli.

Odgarnął z czoła spocone włosy. Jego ręka wydawała się zupełnie odrętwiała, ale nie drżała. Drżał tylko wewnętrznie. Obudził się z jednego koszmaru i zmierzał prosto w kolejny, ale tym razem nie było ucieczki. Upał, bezlitosne słońce, ciemne oczy spoglądające na niego spod chust i zasłon. Jakiś człowiek niósł na ramieniu świeżą tuszę jagnięcą, pozostawiając za sobą zapach krwi. Grupy mężczyzn, którzy stali w drzwiach i przyglądali im się. Przez chwilę miał wrażenie, że znów słyszy ostrzegawczy głos w słuchawce.

Sophie zwolniła przed zaklinaczem węży, który grał na cienkiej piszczałce. Przed nim w koszyku spoczywała zupełnie obojętna kobra. Zaklinacz zauważył jej zainteresowanie i szturchnął koszyk stopą. Wąż podniósł głowę z wyraźną niechęcią, zakołysał się kilka razy i znów opadł. Sophie roześmiała się.

– Biedny wąż! Ma tyle zapału do pracy co znużona tancerka z nocnego klubu, która musi występować przed tłumem podstarzałych biznesmenów.

Kit z uśmiechem dotknął jej pleców.

– Będziesz miała poparzenia od słońca.

– Niemożliwe, przecież bardzo dokładnie wysmarowałeś mnie kremem, i to dwa razy! – Spojrzała

na niego z błyskiem w oczach. Za pierwszym razem cały krem wchłonęły prześcieradła. – A poza tym, dlaczego to ja mam dostać poparzeń, skoro jestem wysmarowana kremem z filtrem pięćdziesiątką, a ty w ogóle niczym się nie posmarowałeś?

Kit owinął wokół palca pasmo złocistych włosów.

– Ty masz wrażliwszą skórę niż ja. Chodź. – Odciągnął ją od zaklinacza, który wciąż patrzył na nich ciemnymi, nieruchomymi oczami. – Zejdźmy z tego słońca. Najlepiej wróćmy do hotelu.

Zaśmiała się, usiłując dotrzymać mu kroku.

– Nic z tego – odrzekła stanowczo. – Chcę wszystko obejrzeć. Bardzo mi się tu podoba.

Pociągnęła go w jedną z mrocznych alejek suku, gdzie słońce nie docierało. Kit odruchowo przebiegł wzrokiem całą jej długość.

– Och, zobacz!

Miał wrażenie, że głos Sophie dociera do niego z bardzo daleka. Odwrócił głowę, żeby popatrzeć we wskazanym kierunku, ale zauważał tylko mroczne bramy i płaskie dachy, idealne kryjówki dla snajpera.

– Jakie to piękne!

Stała przy straganie obwieszonym jedwabnymi ubraniami i przesuwała przez palce oliwkowy szal przeplatany złotą nicią. Kit przetarł twarz ręką. Co się z nim dzieje? Musi wziąć się w garść.

– Przymierz to.

Drżącymi palcami narzucił jej szal na głowę i owinął dookoła szyi, tak jak robiły to kobiety Wschodu. Starał się skupić uwagę na jej zapachu, żeby oderwać myśli od tych mrocznych, krętych zaułków. W szalu na głowie wyglądała pięknie i dziwnie poważnie. Objął jej twarz i pocałował. To pomogło mu wrócić do rzeczywistości. Dziwne uczucie w palcach zniknęło, a wspomnienia ostatniej nocy wyparły mrok z umysłu.

Sophie poruszyła się i otarła o niego piersiami.

– Nie przestawaj – wymruczała, wciąż z przymkniętymi oczami.

– Jeśli nie przestanę, to zaraz zerwę z ciebie tę sukienkę, a tutaj nie byłoby to dobrze widziane.

Spuściła wzrok. Kit delikatnie zdjął szal z jej głowy i znalazł tunikę w tym samym kolorze. Sprzedawca, który wyłonił się z tylnej części sklepiku, patrzył na nich z nadzieją. Twarz miał naznaczoną wiekiem, a spojrzenie ostre jak brzytwa, ale dość życzliwe. W jego oczach nie było ani śladu podejrzliwości i nieufności, do jakiej Kit przywykł, gdy był w mundurze. Dlaczego więc serce wciąż biło mu szybko, a palce wydawały się odrętwiałe?

Naraz poczuł się niewypowiedzianie znużony. Od rana zżerały go wyrzuty sumienia, poczucie winy za to, że zostawił to wszystko za sobą i starał się zapomnieć. Teraz wiedział, że jeśli nie zapomni, to wspomnienia doprowadzą go do obłądzenia. O ile już nie był obłąkany.

Bez targowania podał straganiarzowi pieniądze i zarzucił szal na ramiona Sophie.

– A teraz, Salome – stwierdził sucho – czy uda mi się skusić cię do powrotu, jeśli ci powiem, że w hotelu mają bardzo polecaną łaźnię?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Góry Atlas lśniły na horyzoncie jak góry lodowe. Ich ośnieżone szczyty w zachodzącym słońcu przybrały różowy kolor. Sophie rozparła się wygodnie na przednim fotelu wielkiego mercedesa, który Kit wypożyczył z hotelu, i wystawiła twarz na ostatnie promienie słońca. Poza górami nie było tu wiele do podziwiania. Jechali przez pustynię. Sucha czerwona ziemia tu i ówdzie upstrzona była jeszcze suchszymi, szarooliwkowymi kępami zarośli.

W końcu pustynia przeszła w żyzniejsze tereny, porośnięte trawą, na której pasły się leniwie stada krów i koni. W zachodzącym słońcu ich długie cienie kładły się na ziemi. Z przodu pojawiły się grupki domów przyklejone do zboczy czerwonobrazowych wzgórz. Pomędzy nimi tu i ówdzie rosły wysokie drzewa palmowe.

Villa Luana leżała na skraju wioski. Dom wtopiony był w zbocze wzgórza, otoczony drzewami oliwnymi, cytrusami i sosnami, które przesycaly powietrze suchym żywicznym zapachem. Z wąskimi oknami i wieżą, przypominał fortecę, podobnie jak Alnburgh, ale jeśli Alnburgh pochodził z jakiegoś gotyckiego horroru, to Villa Luana wyjęta była prosto z *Baśni tysiąca i jednej nocy*.

Przejechali przez bramę i zatrzymali się na dziedzińcu. Wieczne cienie zlewały się ze sobą w plamy głębokiego indygo. Ażurowe mauretańskie latarnie z kutego srebra oświetlały ściany w kolorze herbacianych róż. Mężczyzna w tradycyjnej białej galabiji pojawił się w otwartych drzwiach i gestem zaprosił ich do środka.

Weszli do wielkiego holu. W każdej ścianie znajdowało się po kilka wysokich okien otoczonych ażurowym ornamentem. Roztaczał się z nich panoramiczny widok na zbocze. Było tu tak pięknie, że Sophie na chwilę zapomniała o zdenerwowaniu. Podeszła do jednego z okien i westchnęła z zachwytem. Słońce, zachodzące za gałęziami drzew jak pękata brzoskwinia, zalewało ogród ciepłym światłem i rzucało ruchome wstęgi cienia na aksamitne trawniki i gładką powierzchnię basenu. Dalej rozciągały się góry, majestatyczne i ciemne jak atrament.

– Witajcie w Villi Luana.

Sophie drgnęła z wrażenia i odruchowo spojrzała na Kita. W złocistym słońcu jego twarz wydała się dziwnie bezbarwna, ale oczy, patrzące na matkę, lśniły jak zimna stal. Sophie powoli odwróciła głowę i również na nią spojrzała.

Kobieta, która szła w ich stronę, była niska, drobna, ciemnowłosa i wciąż bardzo piękna. Nie wiadomo, dlaczego, Sophie spodziewała się zobaczyć na niej marokański strój albo jego angielską wersję, tymczasem wytworna czarna sukienka Juliet Fitzroy bardziej kojarzyła się z domami mody w Paryżu niż z sukienką w Marrakeszu. Na owalnej twarzy malował się niezmacony spokój, choć



z bliska widać było delikatne zmarszczki na czole i dookoła oczu, które miały ten sam srebrzysty odcień co oczy Kita.

Juliet zatrzymała się kilka kroków przed synem.

– Kit. Tyle czasu minęło. – Mówiła cicho, ale w jej głosie słyhać było emocje. Patrzyła na niego z ożywieniem i nadzieją, jakby się obawiała, że za chwilę zniknie.

– Dużo, prawda? – odpowiedział chłodno. – Prawie trzydzieści lat.

– Tak. – Chyba poczuła się zraniona, bo szybko odwróciła twarz i dopiero teraz zauważyła Sophie.

– Jesteś narzeczoną Kita?

– Tak. Nazywam się Sophie Greenham. – Może to nerwy sprawiły, że Sophie podeszła bliżej i zamiast podać Juliet rękę, wzięła ją w objęcia, a może zrobiła to dlatego, że pomimo elegancji i opanowania było w tej kobiecie coś kruchego i wrażliwego, coś, co sprawiło, że zapragnęła wynagrodzić jej wrogość Kita. – To wielka przyjemność móc cię poznać.

– Ciebie również. Przyjemność i zaszczyt. – Juliet uściśnęła jej ramiona i Sophie poczuła w tym geście wdzięczność. – Wieczór jest piękny, więc pomyślałam, że zjemy na dachu, na tarasie. Philippe przyniesie nam drinki i opowiecie mi o planach na ślub.

Widok z holu na dole był piękny, ale ten, który roztaczał się z tarasu na dachu, wręcz zapierał dech w piersi. Przypominał akwarelę w tonacji ochry, palonej sieni, indygo i złota. Słońce dotykało już horyzontu, zabarwiając suchą ziemię krwistą czerwienią. Kit oparł się o ścianę i wdychał zapach sosen, tymianku i dymu unoszącego się z wioski. Czekał aż adrenalina krążąca w jego żyłach nieco opadnie.

Gorycz, niechęć, złość – wszystkie te uczucia znów do niego wróciły na widok matki. Musiał się powstrzymać siłą, żeby nie zalać jej strumieniem nagromadzonego przez lata żalu. Przyjechał tu, by wyjaśnić mu kilka spraw, a nie po to, by opowiadać jej o swoim ślubie. Za plecami słyszał głos Sophie, która, usiłując podtrzymać uprzejmą rozmowę, chwaliła widoki, cytryny zwisające z drzewek w donicach na tarasie, sterty jedwabnych poduszek na niskich sofach. Przymknął oczy i dźwięk jej słodkiego, nieco wahającego się głosu natychmiast go uspokoił. Fala wrogości opadła.

– Pomyślałam, że napijemy się szampana, bo to bardzo szczególny wieczór – powiedziała Juliet. Jej głos zupełnie się nie zmienił. Był taki sam jak w jego wspomnieniach. Zdobył się na błądy uśmiech i stanął twarzą do niej.

– Dziękuję, ale prowadzę.

– Ja poprowadzę – powiedziała Sophie szybko, przenosząc wzrok z jego twarzy na Juliet i z powrotem.

– Ty nie masz ubezpieczenia. Nie ma problemu, będę pił wodę mineralną.

Juliet powiedziała coś do lokaja, który znów zniknął. Kit odwrócił wzrok od Sophie i wpatrzył się

w zbocze wzgórza.

– Rozumiem, dlaczego wyjechałaś z Alnburgh – powiedział, nie próbując złagodzić ostrego tonu.

– Tu jest z pewnością cieplej. – Juliet zaśmiała się krótko. – Ale Alnburgh też jest piękne. Nie masz pojęcia, jak tęskniłam, gdy tu przyjechałam. – Urwała, uświadamiając sobie chyba, że zbyt szybko wkroczyła na niebezpieczny teren i zwróciła się do Sophie: – Ale najpierw opowiedzcie mi o sobie. Bardzo się ucieszyłam, gdy Kit powiedział, że jest zaręczony. Czym się zajmujesz?

Sophie omal nie zakrzuszyła się szampanem. Zbyt późno zauważyła, że kieliszek Juliet wciąż jest nietknięty i że zapewne powinna poczekać na jakiś toast. Na szczęście zmierzch skrył jej rumieniec.

– Jestem aktorką, ale to właściwie nazwa na wyrost. – Mówiła zbyt szybko, bo czuła się niezręcznie. – Nie mam aktorskiego wykształcenia. Przez jeden sezon pracowałam w teatrze *The Globe*. Zarabiałam jakieś grosze za to, że każdego wieczoru przez dwie godziny wachlowałam Kleopatę liściem palmowym. A teraz przeważnie gram epizody w telewizji i w filmach.

– To bardzo ciekawe. – Wzrok Juliet wciąż uciekał w stronę Kita. Jego szerokie ramiona rysowały się wyraźnie na tle czerwonego nieba. – Jestem pewna, że wkrótce doczekasz się wielkiego przełomu.

– Och, prawdę mówiąc, wcale tego nie chcę. Nie marzę o sławie ani nic w tym rodzaju. Bardzo źle bym się czuła jako gwiazda. Ta praca po prostu pozwalała mi zarabiać pieniądze i podróżować, i nie trzeba było do tego zdawać Bóg wie ilu egzaminów. Zrezygnowałabym z niej nawet jutro, gdybym mogła sobie na to pozwolić. – Zachichotała i napiła się jeszcze szampana. – Właśnie skończyłam film o wampirach. Przez sześć tygodni codziennie musiałam sobie robić makijaż jak profesjonalna dziwka.

Philippe wrócił z wielką tacą wyładowaną potrawami i oszronioną butelką wody mineralnej. Juliet wskazała Sophie miejsce na kanapie.

– A ty, Kit? – zapytała. – Jesteś w wojsku?

Kit podszedł bliżej. Ostatnie czerwone promienie słońca rozświetliły jego pokrytą bliznami twarz.

– Jestem saperem – odrzekł szorstko, dotykając policzka. – Jak widać.

– Wiem. Staralam się śledzić twoje życie, na ile mogłam. Czytałam w gazetach, że odznaczono cię Krzyżem Jerzego. Byłam z ciebie bardzo dumna. – Przez jej twarz przemknął smutny uśmiech. – Wiem, że nie mam do tego prawa. Ale ty, Sophie, na pewno jesteś dumna.

Zaskoczona Sophie, z ustami pełnymi jakiejś pikantnej potrawy, którą na ślepo wybrała spośród mnóstwa miseczek na tacy, pokiwała tylko głową.

– Wypijmy za was. – Juliet sięgnęła po swój kieliszek i uniosła go do światła. – Za wasze małżeństwo i wspólną przyszłość. Oby była radosna i bez przeszkód.

Kit spojrzał na Sophie i uniósł butelkę mineralnej. Sophie ze wstydem zauważyła, że jej kieliszek jest niemal pusty.

– Za nas wszystkich – powiedziała szybko, chcąc rozproszyć napięcie, które pojawiło się przy stole. – Za szczęśliwą, niezmaconą przyszłość.

Juliet wypłała malutki łyk szampana. Sophie powstrzymywała się całą siłą woli, by nie osuszyć kieliszka do dna.

– Opowiedzcie mi teraz o planach na ślub. – Juliet odstawiła kieliszek i znów spojrzała na Sophie. W jej świetlistych oczach widać było niepokój. Sophie dopiero w tej chwili zrozumiała, co znaczy wyrażenie *noblesse oblige*. Należało dołożyć wszelkich wysiłków, by zachować twarz i dobre maniery. – Czy wyznaczyliście już datę?

Zerknęła na Kita. Wydawał się znudzony, ale przez cały czas postukiwał palcem o poręcz kanapy. Ten ruch zdradzał jego napięcie. Serce jej ścisnęło się na ten widok.

– Nawet jeszcze nie podjęliśmy decyzji, jaki to będzie ślub i gdzie – powiedziała szybko. – Nigdy nie marzyłam o jedwabnych sukniach i weselnym torcie wielkości młyńskiego koła. Chciałabym raczej, żeby uroczystość była jak najmniejsza i jak najbardziej prywatna. Na przykład na pustyni. – Urwała i przy stole natychmiast zaległo milczenie, więc desperacko mówiła dalej: – Wielu moich przyjaciół brało tylko ślub cywilny przy urzędniku, ale to wydaje mi się trochę bezduszne. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy ci ludzie przysięgali sobie dożgonną miłość, czy składali podanie o pozwolenie na rozbudowę domu.

Juliet uśmiechnęła się z żalem.

– A kaplica w Alnburgh? – zapytała ostrożnie. – Jest malutka, ale piękna.

Napięcie jeszcze wzrosło. Kit podniósł się i mruknął coś niechętnie, a potem przeciągnął dłonią po włosach i spojrzał na Juliet. W jego srebrzystych oczach błyszczał gniew.

– Niestety, ta kaplica nie ma licencji na udzielanie ślubów osobom spoza rodziny, a skoro okazuje się, że, technicznie rzecz biorąc, nie jestem Fitzroyem...

– Och, Kit. – Juliet również wstała. Wyraz twarzy miała buntowniczy, ale w głosie brzmiało współczucie. – Ciekawa byłam, czy wiesz... czy udało ci się odgadnąć. – Spuściła wzrok i opanowała się z wyraźnym wysiłkiem. – Właśnie dlatego chciałam się z tobą spotkać. Jesteś Fitzroyem. Alnburgh należy do ciebie.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – Przez mgłę adrenaliny Kit uświadamiał sobie niejasno, że dłonie ma zwinięte w pięści, a w jego głosie brzmi gniew. – Widziałem się z prawnikiem Ralphe.

W testamencie powiedziane jest wyraźnie, że nie łączą mnie z Ralphem żadne więzy krwi i że on nie życzył sobie, by jego rodowa posiadłość wpadła w ręce twojego bękarta.

Juliet westchnęła. Była bardzo blada i nie spuszczała szeroko otwartych oczu z jego twarzy.

– Obawiałam się, że może coś takiego zrobić. Właśnie dlatego musiałam się z tobą skontaktować. Kit, Ralph nie był twoim ojcem, ale... – znów wzięła szybki oddech – był nim jego starszy brat, a to

oznacza, że to ty, a nie Jasper, jesteś prawowitym dziedzicem Alnburgh.

Kit poczuł w ustach metaliczny posmak.

– Starszy brat Ralpa?

– Leo – odpowiedziała Juliet cicho. – Leo Fitzroy.

Wspomnienia trafiły na swoje miejsca i ułożyły się w całość. Portret, który wisiał w holu w Alnburgh, zanim go stamtąd zdjęto i przewieszono w jakieś mniej eksponowane miejsce. Mundur.

– Był w wojsku – wychrypiął Kit. – Zginął na Falklandach.

– Nie. – Usłyszał jej westchnienie. – Nie, nie zginął. Walczył tam. Czas mijał i gdy Leo nie wracał do Alnburgh, ludzie zaczęli tak uważać, a Ralph nikomu niczego nie tłumaczył. Te przypuszczenia stawiały rodzinę w dobrym świetle i wyjaśniały, dlaczego nie było pogrzebu.

Kit stanął naprzeciwko niej.

– A jak wyglądała prawda?

Objęła ramiona dłońmi i odsunęła się od stołu, na którym stała prawie nietknięta kolacja.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Z jej ust wyrwał się drżący śmiech. – Chociaż ćwiczyłam to w głowie już od wielu tygodni.

– Zaczynj od początku – odezwała się Sophie z kanapy. Głos miała cichy i spokojny. – Zaczynj od tego, jak poznałaś Leo.

Serce Kita biło mocno. Miał ochotę przytulić Sophie i schować twarz w jej włosach, ale nie był w stanie się poruszyć. Juliet zapaliła lampę na ścianie. Zapalka na chwilę oświetliła jej twarz, uwidaczniając zmarszczki.

– Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy poznałam Ralpa – powiedziała powoli. Podeszła do jednego z drzewek cytrynowych i zacisnęła dłoń na owocu. Światło lampy otaczało ich wszystkich złocistym kręgiem i rzucało cienie na ścianę tarasu. Kit przypomniał sobie czasy, gdy Juliet przychodziła do jego sypialni w wieży Alnburgh, by mu powiedzieć dobranoc.

– Skończyłam szkołę dla dziewcząt. Byłam okropnie naiwna i żyłam pod kloszem – mówiła miękko głosem, który dobrze pamiętał. – Rodzice chcieli mnie wysłać do Szwajcarii na jakąś pensję, przede wszystkim dlatego, że nie wiedzieli, co ze mną zrobić, dopóki nie znajdę odpowiedniego męża. W któryś weekend przyjaciółka poprosiła, żebym pojechała z nią na przyjęcie do Alnburgh, rodowej posiadłości earla Hawksworth – skrzywiła się. – Moja matka była zachwycona.

Philippe zebrał talerze na tacę i zapalił świece w latarenkach na stole. Gdy wyszedł, Juliet znów usiadła.

– Zakochałam się w tym miejscu – mówiła, sięgając po kieliszek. – Był środek lata i Alnburgh wyglądało bardzo romantycznie. Wszystko tam kręciło się wokół Ralpa. Był przystojny, ciągle się śmiał i przez cały czas w jednej ręce trzymał butelkę szampana, a drugą obejmował jakąś półnągą

blondynkę. – Urwała i sięgnęła po kieliszek. – Przyjęcie trwało trzy dni. Kiedy w końcu wróciłam do domu, rodzice byli wściekli – roześmiała się pustym śmiechem – dopóki im nie powiedziałam, że jestem zaręczona. Wydawało mi się, że jestem w nim zakochana. Ale tak naprawdę zakochałam się w zamku, w szampanie, w wolności. Szkoda tylko, że gdy to zrozumiałam, było już za późno. Leo przyjechał na ślub...

Urwała. Sophie, z charakterystycznym dla siebie współczuciem i życzliwością, położyła rękę na jej ramieniu. Ze wszystkich emocji kłębiących się w głowie Kita w tej chwili na pierwszy plan wybiła się wdzięczność. Sophie przejęła odpowiedzialność za uczucia Juliet, dzięki czemu on mógł sobie pozwolić na to, by po prostu chłonąć fakty dotyczące jego własnej, bolesnej historii. Tak było mu łatwiej.

– To było okropne – mówiła Juliet martwym głosem. – Był pierwszym przyjacielem Ralpha i przyjechał dopiero rano przed ślubem, więc po raz pierwszy zobaczyłam go, idąc przez kościół. Miałam wrażenie, jakby jakaś część mojej duszy go rozpoznała i od razu wiedziałam, bez żadnych wątpliwości, że wychodzę za niewłaściwego mężczyznę.

Nad stołem Sophie napotkała wzrok Kita i na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Ona również przyjechała do Alnburgh, udając dziewczynę Jaspera.

– I co zrobiłaś? – zapytała cicho, znów odwracając wzrok.

Juliet wzruszyła ramionami.

– Nic. Zrobiłam to, co każda dobrze wychowana dziewczyna zrobiłaby na moim miejscu: złożyłam przysięgę, mówiłam, co trzeba, na przyjęciu, a potem pojechałam w podróż poślubną i starałam się być dobrą żoną, ale to małżeństwo było katastrofą. Ralph nie zamierzał rezygnować z przyjęć i półnagich blondynek, a ja przekonałam się, że Alnburgh nie jest nawet w części tak romantyczne zimą. Byłam pewna, że umrę albo z zimna, albo z samotności.

W ciepłym zmierzchu Sophie przyciągnęła kolana do piersi.

– Znam to uczucie. Spędziłam tam tylko dwa tygodnie, ale przez cały czas nie potrafiłam przestać myśleć o tym, jak mi zimno.

– Mów dalej. – Głos Kita był chropawy jak żwir.

– Potem Leo wrócił do domu. – Juliet westchnęła i zwiesiła głowę. – Jeśli powiem, że nie sposób było powstrzymać tego, co się działo między nami, będzie to brzmiało, jakbym próbowała się usprawiedliwiać. Ale tak to wyglądało.

Nie musisz mi tego mówić, pomyślał Kit ze znużeniem. Gdyby był lepszym człowiekiem, zapewne powiedziałby to na głos, żeby przekazać Juliet, że on również nie potrafił oprzeć się pokusie, tak jak ona i Leo. Nie zrobił tego jednak. Siedząca naprzeciwko niego Sophie oparła policzek na kolanach. Przypomniawszy sobie, jak w końcu obydwójce poddali się pragnieniu w wielkim, starym, zakurczonym

łozu z baldachimem.

– Mieliśmy trzy tygodnie, a potem Leo znów musiał wyjechać. Przysięgliśmy sobie, że to będzie koniec, cudowna jednorazowa przygoda bez żadnego ciągu dalszego. Postanowiliśmy, że nie będziemy do siebie pisać ani kontaktować się w inny sposób, toteż – jej głos załamał się – gdy przekonałam się, że jestem w ciąży, nie miałam jak go o tym zawiadomić.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła mówić, Juliet spojrzała wprost na Kita. Wyraz jej twarzy był przepraszający i bezradny.

– Nawet nie wiedziałam, gdzie on jest. Wtedy już służył w SAS-ie i wszystko, co robił, było objęte ścisłą tajemnicą. Byłam przerażona. Czułam się okropnie, dlatego Ralph szybko odgadł, że jestem w ciąży. Był szczęśliwy. Nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że to nie jego dziecko.

– I nie pomyślałaś, że powinnaś mu o tym powiedzieć? – zapytał Kit bezbarwnie.

– Oczywiście, że pomyślałam. O niczym innym nie myślałam. Ale źle się czułam, a Leo nie było.

Nie wiedziałam, co zrobić, więc nie zrobiłam nic.

Philippe przyniósł kolejne dania i postawił je na stole, nie zważając na wyraźne napięcie w powietrzu. Kit zaczekał na wyjście służącego, a potem popatrzył na matkę oczami jak dwa lasery i zapytał niebezpiecznie cichym głosem:

– I jak długo nic nie robiłaś?

– Miałaś jakiś rok, gdy Leo wrócił. – Juliet wciąż unikała jego wzroku. Zdjęła pokrywkę z terakotowego naczynka i powoli mieszała łyżeczką zawartość. – Wcześniej plan był taki, że Leo przejmie zarządzanie zamkiem, gdy wyjdzie z wojska, ale wszystko się zmieniło. Ralph uważał cię za swojego syna, a Leo czuł się winny, że miał romans z żoną brata i nie potrafił się zdobyć na to, by odebrać mu również dziecko i dom.

Jej ręka drżała. Kuskus rozsypał się po stole. Podniosła głowę i spojrzała na Kita.

– Oddał mu Alnburgh bez wahania, ale nie potrafiliśmy zrezygnować z siebie nawzajem.

– Zatem porzuciłaś nas, żeby być z nim. – W świetle świec twarz Kita przypominała maskę. Tylko skaleczenia świadczyły o tym, że jest człowiekiem z krwi i kości. – A może po prostu zapomniałaś zabrać mnie ze sobą?

Sophie czuła dudnienie w skroniach. Miała wielką ochotę zamknąć oczy i zasłonić uszy jak dziecko, z nadzieją, że to wszystko zniknie.

– Och, Kit, to nie było takie proste. – W głosie Juliet po raz pierwszy zabrzmiały surowe emocje. – Wiesz, że nie odeszłam od razu. Próbowaliśmy przestać się widywać, ale w głębi duszy oboje wiedzieliśmy, że to się nie uda. I w końcu przestaliśmy się czuć winni. Leo często wyjeżdżał za granicę, w miejsca, o których czytałam w gazetach i których nazwy kojarzyły się wyłącznie z przemocą i terrorem. To wszystko było kuszeniem losu. Wychodził cało z kolejnej misji, kolejnego obłączenia, kolejnej strzelaniny i wracał do mnie, by świętować to, że wciąż żyje.

Przez twarz Kita przebiegł grymas.

– Ale po Falklandach było inaczej. Leo się zmienił. Nie mógł już dłużej robić tego, co robił. Na

jakiś czas wysłano go na Gibraltar. Wtedy kupił ten dom, żeby tu przyjeżdżać na odpoczynek, gdy będzie miał wolne. Zdecydował, że przeprowadzi się tu na stałe i chciał, żebyśmy zamieszkali razem z nim. Obydwoje.

Przez chwilę Kit nic nie mówił. Gdzieś daleko zaszczekał pies.

– I co się potem stało?

Juliet wzięła głęboki oddech.

– Nie czułem się dobrze, kiedy wrócił z Falklandów. Nie mogłem spać i zauważyłem różne objawy. Myślałem,

że poczuje się lepiej, kiedy przyjedzie tutaj i odpocznie, ale gdy te objawy nie minęły, pojechałem do Londynu na badania.

Kit gwałtownie wstał i podniósł dłonie do skroni.

– Mów dalej – rzucił. Sophie dotknęła jego ramienia, ale zdawało się, że jej nie zauważył.

– Byłem u kilku specjalistów z Harley Street. Każdy przeprowadzał serię badań i odsyłał go do kolejnego lekarza. – Głos Juliet znów był dziwnie spokojny. – Nie było mnie przy nim, kiedy poszedł na ostatnią wizytę do neurologa. Ten stwierdził, że Leo cierpi na postępującą chorobę centralnego układu nerwowego i że został mu rok życia.

Kit odwrócił się i podszedł do skraj tarasu. Do bólu głowy Sophie dołączyło dziwne palenie w piersi.

– Usłyszenie takiej wiadomości zadziwiająco przejaśnia w głowie. Nagle wszystko stało się bardzo proste.

– Zostawienie własnego dziecka było dla ciebie proste? – zapytał Kit pustym głosem. Było już zupełnie ciemno. Warstwa mroku okrywała wszystko oprócz kręgu światła na tarasie. Wpatrywał się w ten mrok, aż oczy zaczęły go piec.

– Rok. – Głos Juliet wydawał się bardzo zmęczony. – Sądziłam, że to będzie tylko tyle. Nie mogłam cię ciągnąć przez pół świata, żebyś zamieszkał z człowiekiem, którego prawie nie znałeś, który był śmiertelnie chory i potrzebował mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chodziłeś do szkoły, miałeś swoje zajęcia.

Potrzebowałem rodziców, pomyślał Kit. Potrzebował matki. Ale z ciężkim sercem uświadomił sobie, że Leo również jej potrzebował. Jego ojciec potrzebował jej bardziej.

– Dlaczego potem nie wróciłaś? – zapytał szorstko.

Znów westchnęła ze smutkiem.

– Bo lekarze się pomylili. Powiedzieli nam, co się będzie działo: że funkcje życiowe będą zanikać

po trochu, jak przygasające światło, aż w końcu nie będzie mógł się poruszać, przełykać ani

oddychać. Mieli rację, tylko źle ocenili czas, jaki mu pozostał.

Kit odwrócił się powoli.

– Jak długo to trwało?

– Szesnaście lat. Żył jeszcze szesnaście lat. A potem było już o wiele za późno, żebym mogła wrócić.

Później Sophie bardzo niewiele pamiętała z tego, co się działo po wyznaniu Juliet. Nie pamiętała, co jedli, wiedziała tylko, że musiało to być doskonałe, bo jej talerz był pusty i była na tyle głodna, że zgodziła się na drugą dokładkę. Jej kieliszek opróżniał się bardzo szybko, a niewidzialna dłoń wciąż go napełniała. Ciepłe powietrze pieściło jej ciało, a niski melodyjny głos Juliet działał na nią kojąco, odwodząc myśli od mroku czającego się w głębi umysłu.

Rozmawiali na bezpieczne tematy – o wysiłku, jakiego wymagało odnowienie Villi Luana, o tym, jak Leo stopniowo zdobywał zaufanie i szacunek miejscowych. Kit mówił niewiele. Od czasu do czasu po jego twarzy przesuwało się migotliwe światło świecy. Wyglądał jak rzeźba świętego w kościele, milczący i pogrążony w cierpieniu.

Czuła się tak, jakby huragan minął i wszyscy znaleźli się w spokojniejszym miejscu. Ale katastrofa była faktem. Sophie była tak zmęczona i oszołomiona rewelacjami tego wieczoru, że nie potrafiła jeszcze ocenić szkód.

– Bardzo dobrze wybrałeś – powiedziała Juliet łagodnie, patrząc na Sophie, która usnęła pośród poduszek na sofie. Jej włosy rozsypane na barwnym jedwabiu rzucały ciepłe refleksy w blasku latarni. Wyglądała jak wschodnia księżniczka z jakiejś egzotycznej opowieści.

– Tak. – Kit miał gardło zaciśnięte z emocji.

– Choć tak naprawdę nie mamy wpływu na to, w kim się zakochujemy – dodała Juliet. – Kiedy to się zdarza, po prostu się zdarza i nie można nic zmienić. Wiesz, że wpadłeś na całe życie.

Kit wydał dziwny dźwięk, który nie do końca przypominał śmiech. Czuł dudnienie w skroniach, jakby zgromadziło się tam wszystko, co usłyszał tego wieczoru.

– Ale nie zawsze jest to takie proste, prawda? Nie zawsze można za tym pójść tylko dlatego, że chcesz.

W jego głosie brzmiał niezamierzony gniew. Uświadomił sobie, że Juliet zapewne uzna, że on mówi o niej i o Leo. Ale nie mówił o niej. Mówił o sobie, o Sophie i o ich przyszłości, która w świetle wszystkiego, co powiedziała mu Juliet, naraz wydała się oparta na bardzo kruchych podstawach.

Sophie poruszyła się i między jej brwiami pojawiła się zmarszczka. Podniosła dłonie do uszu, jakby chciała się odgradzić od słów Kita, które dotarły do niej przez sen. Juliet poczekała, aż



dziewczyna znów znieruchomieje.

– Wiem, że jesteś na mnie bardzo zły – powiedziała łagodnie. – Niczego innego się nie spodziewałam. Ale bardzo się cieszę, że przyjechaliście i że dałeś mi szansę, bym mogła ci to wszystko powiedzieć. Nawet jeśli mi nie wybaczysz tego, co się zdarzyło, to chciałam, żebyś wiedział o Alnburgh.

Podniosła się i znów spojrzała na Sophie.

– Nie budźmy jej. Chodź na dół. Mam dla ciebie kopię testamentu Leo. Są tam wszystkie szczegóły dotyczące posiadłości.

Kit popatrzył na Sophie, walcząc z pragnieniem, by pochylić się i pocałować jej rozchylone usta.

W zmieniającym się nieustannie pejzażu jego życia tylko ona pozostawała niezmienna. Była jedyną rzeczą dobrą, prawdziwą i piękną, ale...

Oderwał od niej wzrok i zmusił się, by pójść za matką.

– Jakie szczegóły? – zapytał obojętnie, czując pieczenie we wnętrzu dłoni. Nic go nie obchodziła posiadłość. Były inne rzeczy, które musiał od niej usłyszeć.

– Wszystko zostało ustalone, kiedy braliśmy rozwód. Leo zrzekł się praw do dziedziczenia Alnburgh. Uznał, że to dobry interes. Dostał mnie, a Ralph zatrzymał posiadłość i dziedzica.

Schody z tarasu prowadziły na galerię nad holem. Latarnie oświetlały misterne gipsowe fryzy i rzeźbione drzwi, a także staroświecką windę z kutego żelaza. Weszli do dużego pokoju i Juliet zapaliła światło. Duża metalowa latarnia zwisająca z wysokiego sufitu oświetliła skąpo umeblowaną przestrzeń. Znajdowała się tu tylko komoda, toaletka i wąskie pojedyncze łóżko. Kit drgnął, gdy zauważył srebrny zestaw toaletowy: szczotkę do włosów, lusterko i grzebień ze skorupy żółwia.

Pamiętał je z sypialni matki w Alnburgh.

– Czyli Leo praktycznie scedował syna na brata.

Juliet podeszła do komody i wysunęła górną szufladę.

– Był już wtedy chory. Wiedział, że nie sprostałby roli ojca, chociaż bardzo pragnął nim być. Dopilnował, by Alnburgh przeszedł w twoje ręce i by twój tytuł własności był prawnie nie do podważenia. Tylko tyle mógł zrobić.

Odwróciła się powoli i Kit zobaczył w jej ręku plik fotografii.

– Ta choroba jest bardzo brutalna. – Głos jej się załamał. Wyciągnęła zdjęcia w jego stronę. – Był takim silnym, potężnym mężczyzną.

Kit miał wrażenie, że ktoś zaciska mu ręce na gardle. Zdjęcie na samej górze pliku przedstawiało Leo Fitzroya w mundurze polowym, z oczami przymrużonymi w ostrym słońcu. Jego twarz ukazana była z półprofilu, a w tle znajdowała się beżowa pustynia. Kit czuł upał, jaki musiał tam panować.

Wyobrażał sobie Leo wydającego rozkazy ludziom, którzy dopiero wyszli spod zasięgu ognia.

– Jesteś tak podobny do niego...

Wiedział, że to prawda, sam to dostrzegał. Spojrzał na następne zdjęcie. Leo, tym razem w cywilnym ubraniu, otaczał ramieniem Juliet w jakiejś ulicznej kafejce. Na stoliku przed nimi leżały pocztówki i stały szklanki Pernoda. To była Juliet, jaką Kit pamiętał, młoda i uśmiechnięta. Matka, którą Leo mu odebrał.

– Marbella – powiedziała cicho. – Pisałam pocztówkę do ciebie.

I tak to wyglądało dalej. Leo, już szczuplejszy, stojący przy Villi Luana, z dżinem i tonikiem w ręku. Kolejne zdjęcia na tarasie w wózku inwalidzkim. Dłoń Kita drżała, gdy dotarł do ostatniej fotografii. Było to zbliżenie Leo, który przypominał już szkielet, wspartego na stercie poduszek, zaintubowanego. Policzki miał zapadnięte, wychudzone ręce bezwładnie leżały na prześcieradle.

– Lekarze dobrze przewidzieli, co się z nim stanie – powiedziała Juliet ochryłym głosem. – Jak widzisz, choroba bezlitośnie wyniszczyła jego ciało. Ale nie zniszczyła tego człowieka, którego kochałam.

Patrzył w oczy mężczyzny na zdjęciu, swojego ojca. Cała twarz była nieruchoma, bez wyrazu, ale oczy pozostawały żywe i pełne miłości.

– To było najbardziej okrutne ze wszystkiego – ciągnęła Juliet – ale również najwspanialsze. I choć cena, którą zapłaciłam za to, że byłam z nim, okazała się tak wysoka... – urwała i przycisnęła dłonie do ust. – Każdy dzień, który spędziliśmy razem, był błogosławieństwem.

Kit oddał jej zdjęcia. Czuł się jak po wybuchu, jakby coś wyszło powietrze z jego płuc. Ręce miał zupełnie bezwładne, jakby zmiażdżył je buldożer.

– Ta choroba – powiedział z trudem, odsuwając się od niej. Nagle zrozumiał, dlaczego łóżko w sypialni było pojedyncze oraz w jakim celu zainstalowano windę, którą widział na podeście, i zrobiło mu się słabo.

– Stwardnienie zanikowe boczne – westchnęła Juliet. – Niestety, nie jest takie rzadkie.

Kit obrócił się na pięcie i znów na nią spojrzał. Krew dudniła mu w uszach.

– Czy to jest dziedziczne?

Odwróciła się, ułożyła zdjęcia w równą kupkę i znów je schowała do szuflady. Mijały kolejne sekundy.

– Nie – powiedziała, nie patrząc na niego. – Prawie nigdy.

W głowie Kita rozbłysła kolejna eksplozja. Plecy miał mokre od potu.

– Co to znaczy?

Juliet z pochyloną głową przeglądała zawartość szuflady.

– Pytaliśmy specjalisty. W jakichś dziesięciu procentach przypadków może wystąpić zależność genetyczna, ale przeważnie są to odizolowane przypadki. Proszę. – Podała mu dużą kopertę i kwadratowe, obciążone aksamitem pudełeczko. Kit spojrzał na nie niewidzącym wzrokiem,

skupiony na czym innym.

Dziesięć procent, jeden przypadek na dziesięć.

– To jest testament Leo – wyjaśniła Juliet. – Ta kopia jest dla ciebie. A to – wskazała na pudełeczko – to pierścionek Fitzroyów, Czarna Gwiazda. Zauważyłam, że Sophie nie ma jeszcze pierścionka zaręczynowego, więc może...

Złowieszczy głos w głowie Kita powtarzał mu, że nie powinien tego przyjmować, że jeśli da ten pierścionek Sophie, to przykuje ją do siebie kajdanami, ale jakimś sposobem pudełeczko znalazło się w jego dłoni.

– Jest już późno. Musimy iść.

Juliet skinęła głową, wspięła się na palce i objęła go za ramiona.

– Dziękuję – powiedziała z żarem. – Bardzo, bardzo się cieszę, że przyjechałeś.

Pochylił się i szybko pocałował ją w policzek, żałując, że nie może powiedzieć tego samego.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sophie powoli wracała do przytomności. Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomiła, było to, że bardzo boli ją głowa. Drugą było dziwne uczucie w żołądku. Szampan, który wypila wczorajszego wieczoru, tylko po części mógł to wyjaśnić.

Otworzyła oczy i zobaczyła jaskrawoniebieskie niebo za drewnianymi żaluzjami. Łóżko obok niej było puste. Ale Kit zawsze wstawał przed nią, więc jego nieobecność nie znaczyła, że coś się stało.

Usiadła i podniosła dłoń do bolącej głowy. Dopiero teraz zauważyła, że wciąż ma na sobie wczorajszą jedwabną tunikę. Jęknęła głośno, znów opadła na łóżko i schowała głowę pod poduszkę.

Powoli wracały do niej niewyraźne wspomnienia. Kit zniósł ją do samochodu. Pamiętała, że zarzuciła mu ramiona na szyję, gdy kładł ją na siedzeniu i poczuła się urażona, gdy on stanowczo odczepił ją od siebie. Pomyślała, że będzie musiała go przeprosić.

Podniosła się ostrożnie. Nie było tak źle. Oczekała, aż przestanie jej się kręcić w głowie, a potem znalazła Kita na tarasie. On również miał na sobie wczorajsze spodnie i był bez koszuli. Na widok szerokich muskularnych pleców w kolorze wysuszonej na słońcu terakoty zupełnie zapomniała o kacu. Podeszła do niego, objęła go za szyję i przycisnęła usta do ciepłej skóry między łopatkami.

– Jeśli przespałam śniadanie, to może mi to jakoś wynagrodzisz?

Znieruchomiał. To wytrąciło Sophie z równowagi bardziej, niż gdyby się odsunął.

– Nie przespałaś śniadania – powiedział tonem bez wyrazu, odkładając papiery, które przeglądał.

– Zaraz coś zamówię.

Cofnęła się. Było jej trochę niedobrze i nie wiedziała, czy to skutek kaca, czy obojętności Kita. Witaj w krainie paranoi, prychnęła w duchu, siadając naprzeciwko niego.

– Przepraszam cię za wczoraj – powiedziała żałośnie. – I szczerze mówiąc, nie jestem bardzo głodna. Wolalabym ciebie niż śniadanie.

– Mam kilka rzeczy do zrobienia. Muszę to przejrzeć. – Wskazał na plik dokumentów. Sophie widziała odbicie własnej twarzy w szklach jego okularów przeciwsłonecznych.

– Co to takiego?

– Testament Leo.

Uśmiech zniknął jej z twarzy.

– Aha. To ta bomba, tak? Wychodzi na to, że Alnburgh jednak jest twoje – zaśmiała się bez humoru.

– Jasper będzie zachwycony.

– Muszę się z nim zobaczyć, kiedy wrócimy do domu.

Miała wrażenie, że Kit otoczył się niewidzialnym polem siłowym. Stłumiła lęk, zastanawiając się,

co mogło być tego przyczyną.

– W tej chwili jest w Los Angeles – odrzekła najswobodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Kiedy się dowie, że ma to z głowy, pewnie urządzi taką imprezę, że będzie trzeźwiał do Bożego Narodzenia. A ty jak się z tym czujesz? Pewnie cieszysz się, że mimo wszystko należysz do rodziny? – uśmiechnęła się z wysiłkiem. – I w dodatku nie jesteś byle jakim Fitzroyem, tylko dziedzicem posiadłości.

Kit roześmiał się z taką goryczą, że Sophie zastygła.

– Cieszę się? Niezupełnie. Wierz mi, to, że dziedzicę wszystko, nie jest wielkim powodem do szczęścia.

Rozumiała, co ma na myśli. Pozycja earla Hawksworth niosła ze sobą odpowiedzialność. Między innymi wymagała ożenku z kobietą odpowiednią do tego, by nosić diadem, tytuł i zapewnić kolejnych dziedziców. Przypomniała sobie żarty z Jasperem przy lunchu i pomyślała, że nie ma się z czego śmiać. Zupełnie się nie nadawała do tej roli.

Kit potarł czoło, jakby chciał o czymś zapomnieć.

– Muszę zadzwonić.

– Pójdę pod prysznic – wymamrotała Sophie, wycofując się do drzwi.

– Chyba muszę wrócić dzisiaj do domu – mówił dalej, nie patrząc na nią. – Poproszę Nicka, żeby zawiózł mnie do Newcastle, a tam wynajmę samochód i pojedę do Alnburgh.

Sophie zatrzymała się w miejscu.

– A co ze mną?

Podniósł głowę, ale w dalszym ciągu na nią nie patrzył.

– Wiem, jakie uczucia wzbudza w tobie Alnburgh – powiedział z wielkim znużeniem. – Nie musisz ze mną jechać, jeśli nie chcesz, ale zrozum, że ja muszę.

Sophie zaświtała iskierka nadziei. Może zresztą była to iskierka desperacji. W każdym razie nie powiedział wprost, że nie chce jej tam widzieć.

– Chcę pojechać. – Uniosła wyżej głowę i zmusiła się do uśmiechu. – Może to nie jest moje wymarzone miejsce na wakacje, ale nie widziałam cię przez pięć miesięcy i nie mam zamiaru znowu się z tobą rozstawać. Jadę z tobą.

Dopiero gdy usłyszał odgłos zamykanych drzwi łazienki, wypuścił wstrzymywany oddech i rzucił testament Leo na stół. Czytał go przez całą noc, przedzierając się przez strony wypełnione prawniczym żargonem, aż w końcu zyskał jasny obraz. Tak jak Juliet wyjaśniła mu wcześniej, Leo musiał się wyrzec roli ojca, ale dołożył wszelkich starań, by przekazać Alnburgh synowi. Sophie miała rację, powinien być szczęśliwy, ale potrafił myśleć tylko o tym, co jeszcze mógł odziedziczyć po Leo.

Spojrzał na zegarek. Lekarze ze szpitala wojskowego zapewne już skończyli obchód, więc była to odpowiednia pora, by zadzwonić i zapytać o Lewisa. Może uda mu się też porozmawiać z Randallem. Służyli razem i Kit miał do niego zaufanie. Wiedział, że Randall da mu jasną odpowiedź na pytanie, czy drętwienie rąk i mrowienie w palcach mogą być pierwszymi oznakami choroby, która wyniszczyła jego nieznanego ojca.

Sięgnął po telefon i przewiął listę kontaktów, aż znalazł właściwy numer. Nie był tylko pewien, czy będzie potrafił poradzić sobie z odpowiedzią, gdy już ją otrzyma.

Sophie wyszła spod prysznicza i schowała twarz w miękkim ręczniku. Dziesięć minut pod parującymi strugami wody nie zwalczyło kaca ani nie rozproszyło jej lęku, szczególnie, że znów zaczęły do niej wracać fragmenty wspomnień z ostatniego wieczoru.

Nie jesteś gorsza od nikogo innego – to była mantra jej matki, gdy Sophie dorastała, ale Rainbow chyba nigdy nie spędziła wieczoru z osobą tak elegancką, wyrafinowaną i pełną godności jak Juliet Fitzroy. Sophie jęknęła w ręcznik, myśląc o tym, jak powitała Juliet szczerym, lecz nieeleganckim uściskiem, piła szampana duszkiem, a potem opowiadała głupoty o swojej pracy. Boże drogi, czy naprawdę użyła wyrażenia „wykwalifikowana dziwka”? A co było najgorsze ze wszystkiego, usnęła zaraz po kolacji. Nie mogła winić Kita, jeśli teraz się zastanawiał, czy mądrze zrobił, oświadczając jej się.

Jedno, czego nauczyła się od matki, to że nie można nikogo zmusić do miłości. Chciała być z Kitem, dzielić jego życie, ale tylko pod warunkiem, że on również tego chciał, a nie dlatego, że czułby się zobowiązany dotrzymać obietnicy złożonej w innych okolicznościach.

Pomyślała smutno, że nie wypuści go bez oporu, ale z drugiej strony musiała mu dać czas, by mógł się odnaleźć w innej sytuacji.

Sięgnęła po blok papieru hotelowego i napisała mu wiadomość, a potem nałożyła sandały, pochwyciła torbę i cicho wyszła z pokoju.

– Co to znaczy? Wyzdrowieje?

Kit czuł przeszywający ból w przedramieniu. Zapewne po prostu za mocno ścisnął telefon, ale rękę miał zupełnie zdrętwiałą i bał się, że jeśli rozluźni uścisk, to aparat wysunie mu się spomiędzy palców.

– Wygląda na to, że nie ma żadnych trwałych uszkodzeń rdzenia kręgowego – odrzekł Randall gładko. – Brakowało może milimetra, ale kula trafiła tuż obok. Oczywiście dużo czasu jeszcze minie, zanim wstanie i będzie chodził, ale jest nadzieja, że taki dzień nadejdzie.

– Bogu niech będą dzięki.

– To prawda – mruknął Randall lakonicznie. – Ale co u ciebie, Kit? Wiem, że to nie był

najłatwiejszy z turnusów.

– Wszystko w porządku – odrzekł Kit krótko. – Tym razem miałem na sobie kombinezon, inaczej już by mnie tu nie było. Mam trochę pokaleczoną twarz, bo miałem podniesioną osłonę, ale dobrze się goi.

– Cieszę się, że to słyszę, ale chyba nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważył Randall łagodnie. – Wiem, że wyszedłeś z wybuchu w zasadzie nietknięty, ale pytałem o to, jak się czujesz?

– W porządku. Trochę tylko jestem niedospany.

Przymknął oczy i zaklął w duchu, zirytowany na siebie. Chciał się dowiedzieć, ale nie potrafił się zdobyć na to, by zapytać. Boże, co za tchórz!

Randall chyba wyczuł coś w jego głosie, bo nie ustępował.

– Nie sypiasz dobrze?

– Nigdy nie sypiałem dobrze, ale po pięciu miesiącach nieobecności mam pilniejsze rzeczy do robienia w łóżku.

– W takim razie możesz winić tylko siebie.

Kit wiedział, że Randall nie będzie dłużej nalegał, lecz pożegna się i zakończy rozmowę. Wziął głęboki oddech.

– Jeszcze jedno. Co wiesz o stwardnieniu bocznym zanikowym?

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie.

– Wiesz, nie jestem specjalistą. Pytasz o coś konkretnego?

– Tak. Jakie są pierwsze objawy?

W słuchawce rozległo się długie westchnienie.

– Nie wiem, Kit, każdy przypadek jest inny, ale pewnie słabość mięśni w dłoniach i w stopach. Raczej w dłoniach. Niezręczność, brak koordynacji, tego rodzaju rzeczy. Dlaczego pytasz?

Kit nie odpowiedział. Jego myśli znów wróciły do chwili pod mostem, gdy kombinerki wysunęły mu się z bezwładnych palców.

– Jak to się leczy?

– Nie ma na to lekarstwa – powiedział Randall niechętnie. – Można tylko trochę spowolnić postępy choroby. To nie jest przyjemna sprawa.

– Wiem o tym.

– Ale podobne objawy występują w wielu innych schorzeniach, znacznie mniej poważnych i częściej występujących – ciągnął Randall, świadomie zdobywając się na pogodny ton. – Stwardnienie boczne to najgorszy możliwy scenariusz i do tego bardzo mało prawdopodobny.

Chyba że istnieją predyspozycje genetyczne, pomyślał Kit.

– Kit? Jesteś tam jeszcze? Posłuchaj, może zajrzysz do mnie, kiedy wrócisz? Lewis bardzo by się ucieszył, gdyby zobaczył swojego przełożonego, a ja mógłbym cię szybko zbadać, jeśli coś cię

martwi.

– Nie, nie ma takiej potrzeby, naprawdę.

Podpułkownik Mike Randall był lekarzem wojskowym na tyle długo, by wiedzieć, że żołnierze reagują na pytania lekarza tak samo, jak reagowaliby na torturach zadawanych przez wroga: kamiennym milczeniem i absolutną odmową współpracy. Zazwyczaj konieczne było bardziej subtelne podejście.

– A może umówilibyśmy się na squasha? Już dawno nie graliśmy, chociaż to pewnie dlatego, że ty zawsze wygrywasz. Masz ochotę znów mi dołożyć?

Kit doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co Randall robi i w głębi duszy był mu za to bardzo wdzięczny.

– Bardzo chętnie, ale... – Podniósł wolną rękę i przytrzymał ją przed twarzą, rozstawiając palce najszerszej, jak potrafił, aż ból w ścięgnach stał się mocniejszy niż mrowienie i drętwienie. – Wskoczyło mi tu parę rzeczy, sprawy rodzinne. Przez kilka następnych kilka tygodni będę w Northumberland.

– Dobra, Kit, rozumiem. – Randall westchnął ze smutkiem. – Ale jeśli będziesz czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. Gdybyś chciał o coś zapytać...

– Dziękuję, pomogłeś mi już wystarczająco – odpowiedział Kit obojętnym tonem. – To Lewis cię potrzebuje, nie ja. Pozdrów go ode mnie.

Skończył rozmowę, odwrócił się plecami do panoramy miasta i rzucił telefon na niski stolik. Ból w barkach powiedział mu, że przez cały czas trwania rozmowy wszystkie mięśnie miał napięte do granic możliwości, tak jakby szykował się do walki. Ale to nie miało sensu. Wroga, przed którym stał, nie można było pokonać.

Uświadomił sobie, że Sophie zapewne już wyszła spod prysznica, i zaczął się zastanawiać, czy słyszała tę rozmowę. Szybko przeszedł przez wypalony słońcem taras i wszedł do pokoju. Panował tu półmrok i cisza. Na komodzie leżała kartka.

„Poszłam do miasta, żeby kupić pocztówkę dla Jaspera. Do zobaczenia później. S.”

Poczuł ulgę na myśl, że nie słyszała. Mógł w dalszym ciągu zachowywać się normalnie, udawać, że wszystko jest w porządku. Jeśli nie da się zbadać Randallowi i nie usłyszy żadnej oficjalnej diagnozy, to przecież jej nie okłamię.

Była jednak wielka różnica między nieokłamywaniem jej a świadomym wmanipulowaniem w małżeństwo, w którym Sophie stałaby się więźniem. Pierścionek, który dała mu Juliet, wciąż miał schowany w kieszeni spodni. Wyjął go teraz i otworzył aksamitne pudełeczko. Czarny opał otoczony wianuszkami diamentów na tle czarnego ałtasu mienił się całą gamą zmiennych barw.

Patrzył na ten pierścionek przez dłuższą chwilę, a potem z trzaskiem zamknął pudełeczko, znów



wsunął je do kieszeni spodni i poszedł poszukać Sophie.

Podjechał samochodem do głównego placu miasta. W oślepiającym upale poszedł w stronę starej dzielnicy. Wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer Sophie. Szedł ze spuszczoną głową, przyciskając telefon do ucha, starając się ignorować kakofonię ulicznych sprzedawców, muzyków i milion rozmów dobiegających ze wszystkich stron.

Wąskie uliczki były mroczne i chłodne. Z ulgą zszedł ze słońca, ale cienie wydawały mu się złowróżbne. Czuł, że koszula przykleja mu się do ciała. Przyspieszył kroku i teraz prawie biegł, przepychając się przez tłum i wypatrując rudej głowy na tle ciemnych i okrytych chustami. Dlaczego nie odbiera telefonu? Przebiegał wzrokiem ulice, odruchowo wypatrując podejrzanych sygnałów. Było ich mnóstwo: torby ze śmieciami wystawione przy drzwiach, ludzie w luźnych strojach, pod którymi mogli mieć ukryte ładunki wybuchowe, niosący najrozmaitsze torby i paczki i mruczący coś do siebie na ulicy. Tak jak w każdym innym mieście na świecie, powtarzał lekceważąco racjonalny głos w jego głowie.

Przed sobą zobaczył bramę suku. Dalej rozciągała się szeroka ulica, a przed bramą, w promieniu słońca przebijającym się przez żaluzje, rozbłysły rude włosy. Siedziała na niskim stołku, zwrócona twarzą w stronę kobiety w hidżabie, która trzymała ją za rękę. Z ulgi zabrakło mu tchu. Zwolnił, otarł pot z czoła i wziął kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić dudniące serce. Ta kobieta robiła jej zmywalny tatuaż z henny, dlatego Sophie nie odbierała telefonu. Nie została porwana, nikt jej nie zaciągnął w ciemną alejkę.

Naraz zatrzymał się jak wryty. W bramie naprzeciwko stał człowiek z telefonem komórkowym w ręku. Kit patrzył, jak tamten naciska guziki telefonu z wrażeniem, że ogląda film puszczonej w zwolnionym tempie. Przez jego żyły natychmiast popłynęła adrenalina, całe ciało spięło się i odruchowo sięgnął po broń. Znalazł tylko własną komórkę, ale palce drżały mu tak mocno, że upuścił ją na ziemię. Patrzył, jak upada w zwolnionym tempie i wiedział, że musi dotrzeć do Sophie, zanim nastąpi wybuch, ale ogarnął go nagły paraliż. Stopy nie chciały oderwać się od chodnika. Przed oczami zaczęły mu tańczyć ciemne plamy. Otworzył usta, by ją ostrzec, ale z suchego, zaciśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Sophie jednak w tej samej chwili podniosła głowę i spojrzała prosto na niego. Uśmiech zamarł na jej twarzy. Zerwała się na nogi i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

– Kit! Kit, co się dzieje?

Współczucie w jej głosie przywróciło go do rzeczywistości. W mgnieniu oka panika przeszła w niechęć do siebie. Sophie dotknęła jego policzka.

– Kochanie, co się stało?

Mężczyzna za jej plecami z obojętną twarzą rozmawiał przez telefon. Kit szarpnął się i odsunął się

od Sophie, jakby jej dotyk parzył.

– Nic. Nic się nie stało – powiedział głosem twardym i zimnym jak stal. – Szukałem cię, bo zamówiłem samolot na pierwszą. Musimy się spakować i ruszać na lotnisko, o ile nadal chcesz ze mną wrócić.

Opuściła rękę, na której wciąż lśnił wilgotny tatuaż i cofnęła się o krok.

– Tak, oczywiście, że chcę z tobą wrócić.

Poczuł odrazę do siebie, ale duma nie pozwoliła mu wziąć jej za rękę, przeprosić ani cokolwiek wyjaśnić. Odwrócił się na pięcie i poszedł przed siebie ulicą, patrząc nieruchomo w jeden punkt.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lot do Anglii był równie luksusowy jak ten sprzed dwóch dni, ale znacznie mniej przyjemny. Nie rozmawiali wiele. Zdawało się, że Kit otoczył się szklaną szybą. Sophie siedziała w wielkim fotelu, wyglądała przez okno i zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby zmniejszyć dystans między nimi, sprawić, by odłożył papiery, zauważył ją i zechciał z nią porozmawiać. Pragnęła, by jej wyjaśnił, co właściwie działo się w jego umyśle wtedy na suku i dlaczego teraz wyglądał jak człowiek przybity wyrzutami sumienia, ale jednocześnie obawiała się, że to, co Kit może jej powiedzieć, nieodwracalnie zmieni sytuację między nimi.

Dotarli do Alnburgh wczesnym wieczorem. Choć był sam środek angielskiego lata, kontrast z upałem i barwami Maroka nie mógł być większy. Domostwo z szarego kamienia, wyrastające z urwiska nad wietrzną, pustą plażą, wydawało się bardziej złowieszcze niż otoczony sosnowymi lasami disneyowski zamek w Rumunii, gdzie kręcono film o wampirach. Nastrój Sophie opadł jeszcze bardziej. Przypomniała sobie, jak ujrzała ten zamek po raz pierwszy, w zimowy wieczór podczas śnieżycy. Rozświetlony, wyglądał wtedy jak zabawka w szklanej kuli. Była oczarowana, dopóki się nie przekonała, że w środku było tak samo zimno jak na zewnątrz.

– Doskonale rozumiem, dlaczego Tatiana przeniosła się do Londynu zaraz po śmierci Ralpa – powiedziała, wzdrygając się. – Nie jest tu zbyt przytulnie. Czy służba wciąż tu jest?

– O ile wiem, nie – odrzekł Kit nieco zachrypniętym głosem. – Tatiana nie zamierzała im płacić, skoro tu nie mieszka. Woli płacić jak za zboże i mieszkać w hotelu Claridge's, dopóki dekorator nie skończy rujnować jej londyńskiego domu.

Sophie przycisnęła guzik ogrzewania w samochodzie i skierowała strumień ciepłego powietrza na zlodowaciałe stopy. Wciąż miała na nogach złote klapki pokryte różowym pyłem Marrakeszu. Przejeżdżali już pod wieżą z zegarem i z doświadczenia wiedziała, że to ostatnia okazja, by się rozgrzać.

– To wielka odpowiedzialność, prawda? – powiedziała słabym głosem, zastanawiając się, czy to dobry moment, by zapytać, ile czasu Kit potrzebuje, by uporządkować swoje sprawy i kiedy będą mogli wrócić do Londynu.

– Tak.

Zatrzymał samochód i zgasił silnik. Dopiero teraz usłyszeli stłumiony szum morza i krzyki mew.

– Sophie, wiem, że nie tego pragnęłaś i oczekiwałaś.

Od tamtej chwili na suku w Marrakeszu Sophie z desperacją czekała, aż Kit uczyni jakiś gest, by zmniejszyć okropną przepaść, która się między nimi rozwarła, i teraz, na dźwięk znużenia i rezygnacji

w jego głosie, zastygła. Przejechali taki kawał drogi, wrócili do Anglii. Czy właśnie w tej chwili miała usłyszeć od niego, że nic nie wyjdzie z ich związku? Poczowała przyływ paniki.

– Szczerze mówiąc, ty też się tego nie spodziewałeś – powiedziała i drżącymi palcami otworzyła drzwiczki. – Boże, jak ta trawa wyrosła. Nie czujesz się jak Robin Hood wracający z wyprawy?

Wysiadła z samochodu i sięgnęła po podręczną torbę z zakupami ze sklepu wolnocłowego: dwie butelki szampana, jakaś supermodna wódka w różowej butelce i olbrzymia tabliczka czekolady Toblerone dla Jaspera. Wciągnęła głęboko w płuca słone powietrze i zadrżała, gdy chłodny wiatr wpadł pod jej cienką, białą sukienkę. Dżinsowa kurtka była zupełnie niewystarczająca na wieczór w Northumberland.

Za plecami usłyszała trzaśnięcie drzwiczek.

– Masz klucze? – zapytała, idąc za Kitem po schodach do olbrzymich drzwi.

– Nie potrzebuję. – Wystukał jakiś numer na niemal niewidocznej klawiaturze. – Tatiana namówiła mojego... Ralpa, żeby zainstalował tu elektroniczny system.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. Sophie pamiętała ten hol ze swojej pierwszej wizyty. Jak na standardy Alburgh, nie był duży. Każdy cal kamiennych ścian pokrywały setki mieczy, pistoletów, tarcz i sztyletów, ułożonych w skomplikowane wzory. Za pierwszym razem była tym mocno onieśmielona, a teraz, gdy stanęła na kamiennej posadzce i rozejrzała się, nie poczuła się lepiej niż wtedy.

– Nie ma to jak w domu – mruknęła, zdobywając się na wisielczy humor. – W pierwszej kolejności należałoby pozdejmować te okropne pistolety, a w zamian przybić do ściany wieszaki na ubranie i jakieś lustro. To by wyglądało o wiele przyjaźniej i byłoby o wiele praktyczniejsze.

Kit bez uśmiechu zgarnął z podłogi stertę kopert. Sophie uznała, że lepiej będzie zamilknąć. Takie żarty w ustach dziewczyny, która wychowała się w domu przerobionym ze starego autobusu, nie były zbyt zabawne.

– Idę do łazienki – powiedziała i weszła do długiej galerii. W półmroku patrzyły na nią głowy jeleni i antylop upolowanych przez pokolenia Fitzroyów. Zanim tu przyjechała, wyrażenie „wypchane zwierzę” przywodziło jej na myśl puchatego misia. W powietrzu unosił się aromat dymu z palonego drewna, ale spod niego przebijał zapach wilgoci.

W sali portretowej, z której szeroka klatka schodowa prowadziła do góry, Sophie stanęła twarzą w twarz z matką Jaspera, czy też raczej z dwumetrowym portretem, równie onieśmiałającym i olśniewającym jak pierwowzór. Zatrzymała się i popatrzyła na portret. Malarzowi udało się uchwycić słowiańską urodę Tatiany i triumfalny wyraz niebieskich oczu. Na jej szyi, w uszach i nadgarstkach błyszczały diamenty. Namalowane refleksy światła naprawdę zdawały się rozświetlać półmrok.

Sophie westchnęła. Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie na takim portrecie, w atlasowej sukni

i z kilogramami brylantów. Szybko weszła na schody. Podczas pierwszego pobytu w Alnburgh ciągle się gubiła w labiryncie korytarzyków na górze, ale dzięki temu teraz przynajmniej wiedziała, jak znaleźć łazienkę. W odróżnieniu od reprezentacyjnych pomieszczeń na dole, piętro umknęło uwagi dekoratora Tatiany. W chłodnych zaułkach panowała atmosfera starości i zaniedbania. Łazienkę, do której weszła Sophie, po raz ostatni remontowano w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Znajdowała się tu olbrzymia żeliwna wanna na lwich łapach i jaskrawozielone prostokątne kafle, ułożone w cegielkę. Było zimno jak w lodówce.

Nie było papieru toaletowego, ale na szczęście Sophie znalazła w kieszeni pomięte resztki serwetki z samolotu i w duchu podziękowała Nickowi McAllisterowi. Pociągnęła za zgrzytający łańcuszek i już miała wyjść, gdy nagle jej uwagę przyciągnęło coś na podłodze przy drzwiach. Zatrzymała się jak wryta. Jej krzyk odbił się echem od ścian i popłynął korytarzem.

Kit zastygł. Instynkt natychmiast doszedł do głosu. W ułamku sekundy biegł już po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Znow był na służbie. Oczami wyobraźni widział strzępki ciała, krew i zastanawiał się, jakie środki ma do dyspozycji. Biegąc korytarzem, zauważył uchylone drzwi łazienki i otworzył je kopniakiem.

– Sophie!

Nie było krwi – to zauważył od razu. W następnej chwili spostrzegł, że Sophie stoi wciśnięta między wannę a toaletę, z rękami przyciśniętymi do gardła, skurczona w pozie absolutnego przerażenia.

– Nie ruszaj się! – wychrypiał.

Powoli, z oczami okrągłymi ze strachu, Sophie wyciągnęła rękę i wskazała coś na podłodze tuż obok niego.

– Tam!

Spojrzał w to miejsce i zamrugał.

– Pająk – wykrztusił. – To tylko pająk!

– Tylko pająk? Jak to, tylko? Jest olbrzymi! Proszę cię, Kit – zaszlochała. – Nienawidzę pajaków.

Proszę, pozbadź się go!

Pochylił się, by pochwycić pająka jednym zręcznym ruchem, ale sztywne palce odmówiły współpracy i pająk uciekł. Sophie znow krzyknęła i przykleiła się do ściany. Udało się za drugim razem. Zacisnął palce na pająku i wyrzucił go na zewnątrz przez wypaczone okno.

– Nie ma go już?

Pokazał jej pustą dłoń. Adrenalina jeszcze nie opadła do końca. Nie był w stanie się odezwać. Oddychał szybko i z wysiłkiem. Odwrócił się plecami do Sophie i przycisnął dłonie do skroni.

– Dziękuję – powiedziała drżącym głosem. – Nie znoszę pajaków. W naszym autobusie były takie

wielkie jak ten. Rainbow upierała się, że one też mają prawo do życia, tak jak my, i nie pozwalała ich dotknąć. Leżałam w łóżku i okropnie się bałam, że wypełzną mi pod pościel.

Jej głos przeszedł w szloch. Przyłożyła dłoń do ust. Zawsze była silna i nie traciła pogody ducha, ale teraz cała jej siła znikła. Kit w jednej chwili znalazł się przy niej i wziął ją w ramiona.

– Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna. Tego pająka już nie ma.

Tak dobrze było znaleźć się blisko niej. Koszmar ostatnich dwudziestu czterech godzin zaczął blednąć. Objął jej twarz i uświadomił sobie, że odrętwienie i mrowienie w czubkach palców zupełnie minęło. Czuł ciepło jej policzków, gładką skórę, ślad każdej łzy, która spłynęła po twarzy. Pożądanie, tłumione przez długą podróż, w czasie której Sophie spała z głową opartą na jego ramieniu, wróciło.

Jak zawsze odpowiedziała mu tym samym. Jej dłonie powędrowały do jego piersi i szarpnęły koszulę.

– Nie tutaj – mruknął i odsunął się.

Usłyszał jej krótki śmiech. Policzki miała wilgotne i zaczerwienione, oczy błyszczące z podniecenia.

– Cieszę się, że to powiedziałaś. Po tym pająku nie miałabym ochoty kłaść się tu na podłodze.

– Chodź. – Wziął ją za rękę i pociągnął przez mroczne korytarze, po spiralnych schodach.

– Dokąd idziemy?

– Do naszego pokoju.

– Czy to daleko, bo...

Urwała bez tchu. Kit pochylił się i wziął ją na ręce, po czym w kilku krokach przemierzył pozostałe stopnie i dotarł do drzwi sypialni. Pomieszczenie było wielkie, okrągłe i prawie puste. Znajdowała się tu tylko pękata komoda i pięknie rzeźbione drewniane łóżko. Wieczorne światło wpadało do środka przez witrażowe okno, zabarwiając ściany na różowo.

Kit postawił ją na podłodze.

– Tym razem nie będziemy się spieszyć – szepnął.

– Kit?

Głowa Sophie spoczywała na jego piersi. Jego serce biło w jednym rytmie z falami morza pod oknem.

– Mhm?

– Nie chciałabym psuć nastroju tej chwili, ale jestem potwornie głodna – powiedziała z szerokim uśmiechem.

– To może być pewien problem – odrzekł poważnie. – Nie mam pojęcia, która jest godzina, ale sklepik w wiosce jest już dawno zamknięty. Masz ochotę pojechać na kolację do Hawksworth?

Przez chwilę zastanawiała się nad tą propozycją.

– A czy musiałabym się ubierać?

– Chyba tak. W tych okolicach ludzie są dosyć staroświeccy.

– W takim razie nie zwracajmy sobie tym głowy. – Niechętnie zsunęła się z niego i przerzuciła nogi przez krawędź łóżka. – Jasper będzie musiał poświęcić swoją czekoladę. No i mamy szampana.

– Prawdę mówiąc, mamy całą piwniczkę szampana – zauważył Kit.

– No tak. Nie pomyślałam o tym.

Sięgnęła po sukienkę zagrzebaną pod spodniami Kita. Gdy je poruszyła, z kieszeni wypadło czarne kwadratowe pudełeczko. Sophie bez zastanowienia podniosła je i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, co to może być.

Poczuła oszołomienie, radość i nadzieję. Spojrzała na Kita. Przez chwilę myślała tylko o tym, że na białym prześcieradle, w ostatnich promieniach światła, wygląda nieprawdopodobnie seksownie. Dopiero potem zauważyła jego twarz pozbawioną wszelkiego wyrazu.

– Kit – szepnęła, czując, jak krew dudni jej w uszach. – Co to jest?

Usiadł powoli i przeciągnął dłonią po włosach w geście rezygnacji.

– Otwórz.

Ręce jej drżały, w końcu jednak udało jej się otworzyć zameczek. Wstrzymała oddech. Kamień pośrodku pierścionka był ciemnozielony, ale gdy tak trzymała pudełeczko w drżącej dłoni, otaczające go diamenty pochwyciły ostatnie promienie światła i dookoła zatańczyły malutkie tęcze. Nie miała żadnych wątpliwości, że pierścionek jest bardzo stary i bardzo cenny. Wydawało jej się również, że gdzieś go już widziała.

– To czarny opal – powiedział Kit tonem bez wyrazu. – Nazywa się Czarna Gwiazda. Od wielu pokoleń w mojej rodzinie był pierścionkiem zaręczynowym.

– Ach – zaśmiała się niepewnie. Zamknęła pudełeczko i oddała mu. – Lepiej schowaj go w jakieś bezpieczne miejsce.

– Chodź tutaj – powiedział cicho Kit.

Podeszła do niego na drżących nogach. Delikatnie wyjął pudełeczko z jej rąk, wziął ją za rękę i wsunął pierścionek na serdeczny palec.

– Sądzisz, że tu będzie bezpieczny?

Znów ją pociągnął na łóżko i pocałował, żeby nie mogła dostrzec w jego oczach rozpacz i niechęci do siebie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Dwadzieścia dwa funty pięćdziesiąt sześć. Czy mam to dopisać do rachunku pana Fitzroya, panno...?

Sophie podniosła wzrok znad zawartości torebki. Pani Watts patrzyła na nią wyczekująco ponad stertą plastikowych wiatraków i łopatek plażowych.

– Nazywam się Greenham – wyjąkała z zaskoczeniem. – Sophie Greenham. Ale nie, dziękuję. Zaraz zapłacę.

– Ale mieszka pani w zamku, tak? – dopytywała się pani Watts, ujawniając talenty prokuratorskie skryte pod maską zyczliwości i poliestrowym kombinezonem. – Razem z panem Kitem? Czy raczej: jego wysokością, bo tak wciąż o nim myślę. O wiele bardziej nadaje się do tej roli niż pan Jasper.

Ten zawsze był szalawilą, tak jak jego matka, druga lady Fitzroy. Podobno teraz jest w Ameryce?

– Tak – potwierdziła Sophie bezradnie. Podała sprzedawczyni pieniądze i spojrzała na drzwi z nadzieją, że lada moment pojawi się tam wybawienie w postaci dużej grupy hałaśliwych dzieci poszukujących wiader i łopatek przed wyprawą na plażę. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

– Och, jaki piękny pierścionek! – zawołała pani Watts z podnieceniem, przyjmując od niej pieniądze. Pochyliła się nad wiatrakami, by przyjrzeć się bliżej. – Moim zdaniem, to bzdury, co ludzie mówią, że opale przynoszą pecha. Pamiętam, że ten pierścionek nosiła pierwsza lady Fitzroy, lady Juliet. Czy to znaczy, panno Greenham, że mam pani pogratulować?

– Tak. Mam na imię Sophie.

Rozpromieniona pani Watts przyłożyła dłoń do pokrytej poliestrem piersi.

– Cóż za wspaniała wiadomość! Pan Kit to uroczy dżentelmen, a poza tym już od wielu lat nie było w zamku żadnego normalnego ślubu. – Zgarnęła zakupy Sophie do plastikowej torby. – Sir Ralph wziął ślub ze swoją drugą żoną w Londynie. Nigdy nie lubiła Alnburgh. Ale wciąż pamiętam dzień ślubu z lady Juliet. Cała wioska zebrała się tu i patrzyła, jak ojciec prowadzi ją do ołtarza. – Pani Watts zastygła z bukietem rdzawych chryzantem w ręku i w jej oczach pojawiło się rozmarzenie. – Wyglądała tak pięknie. To była prawdziwa dama. Ona nigdy by nie dopuściła, żeby zamek popadł w taką ruinę. Szkoda, że to małżeństwo nie przetrwało.

Sophie miała ochotę powiedzieć jej, że nie powinna w najbliższym czasie spodziewać się żadnego ślubu w zamku, ale ugryzła się w język. Skorzystała z okazji, że pani Watts pograżyła się we wspomnieniach, pochwyciła torbę i podeszła do drzwi.

– Zapomniała pani o kwiatkach! To bardzo piękne kwiaty, duma mojego męża. Dostał za nie nagrodę. – Pani Watts obeszła ladę dookoła i podała jej bukiet, a potem, wiedziona jakimś feudalnym



impulsem, otworzyła przed nią drzwi. Sophie zarumieniła się z zażenowania.

– Dziękuję, ale mogę...

– Oczywiście, że nie – stwierdziła pani Watts stanowczo. – Teraz jest pani nie byle kim w tej wiosce. Jesteśmy bardzo dumni z naszych tradycji.

Sophie spojrzała na swoją tanią sukienkę i trampki i wyszła na popołudniowe słońce. Właśnie zaczął się nowy rok szkolny i w wiosce nie było już letników. Dookoła trawnika stała tylko niewielka grupa matek z wózkami. Na ich widok Sophie wstrzymała oddech. Jej okres, który zawsze był bardzo regularny, spóźniał się już o całe trzy dni. Impulsywnie zwróciła się do pani Watts.

– Czy rzeczywiście opale przynoszą pecha?

Tamta machnęła ręką z lekceważeniem.

– To tylko takie gadanie. Ja nie wierzę w takie rzeczy: horoskopy, znaki zodiaku i różne inne hokus-pokus. W małżeństwie wszystko zależy od uczucia. Trzeba się kochać, ufać sobie i rozmawiać ze sobą. Dlatego ja i pan Watts jesteśmy razem już od prawie pięćdziesięciu lat.

No tak, pomyślała Sophie z żalem, idąc do zamku. Nie wróżyło to dobrze dla Kita i dla niej. Rozmowy ostatnio nie wychodziły im najlepiej. Bliskość, która powstała między nimi tamtej nocy, gdy dał jej pierścionek, niemal natychmiast zaczęła zanikać.

W następnych dniach Kit był nieustannie zajęty. Spotykał się z prawnikami, księgowymi, nadzorcami. Przedzierał się uparcie przez prawny labirynt otaczający testament Leo i próbował zorganizować wszystkie konieczne i najpilniejsze remonty zamku, które Ralph od lat już zaniedbywał. Wieczorem jedli kolację, zwykle przed kominkiem w bawialni, albo spacerowali po plaży. Oczywiście rozmawiali o tym, co trzeba zrobić, ale bardziej te rozmowy dotyczyły przyszłości Alnburgh niż ich własnej. Prawdę mówiąc, jedyną szczerą rozmowę Sophie przeprowadziła przez telefon z Jasperem, który zadzwonił do niej z Los Angeles. Tak jak przypuszczała, Jasper przyjął z ulgą ten ostatni zwrot w dramacie związanym z tytułem własności Alnburgh, ale jego radość przyćmiła troska o nią.

– Nie jest to szczególnie przytulne gniazdko, w którym można by rozpoczynać życie małżeńskie – westchnął, jak zwykle wypowiadając na głos jej myśli.

Jej początkowa nadzieja, że pobyt w Alnburgh będzie krótki, szybko znikła. Z dnia na dzień Kit coraz bardziej zagłębiał się w sprawy posiadłości. Widziała, że dobro Alnburgh leży mu na sercu i było jasne, że nie zamierza w najbliższej przyszłości wrócić do Londynu. Ze względu na niego musiała jakoś przyzwyczaić się do myśli, że tu będzie jej dom.

Wchodząc z jasnego słońca do holu, poczuła się, jakby wchodziła do krypty. Szybko przeszła przez długą galerię, omijając wzrokiem wypchane głowy zwierząt i zeszła do kuchni.

Było to olbrzymie ponure pomieszczenie z belkowanym sufitem i wiktoriańskim żeliwnym paleniskiem, które zajmowało całą ścianę. Reszta wyposażenia nie była o wiele nowocześniejsza,

a jedyne światło pochodziło z rzędu okien osadzonych wysoko w kamiennej ścianie oraz z emaliowanej lampy z lat trzydziestych, która wisiała nad olbrzymim stołem. Nie miało to nic wspólnego ze słoneczną przyjazną kuchnią, jaką sobie wyobrażała, gdy mówiła Jasperowi, że chciałyby mieć wreszcie dom.

Położyła zakupy na stole i poszła poszukać wazonu na kwiaty. Odkryła całe pomieszczenie pełne porcelany wszelkiego rodzaju, ale nie odważyła się wziąć stąd niczego w obawie, że mogą to być cenne zabytki. Znalazła w szafce zwykły kremowy dzbanek, napelniła go wodą i zaniósła kwiaty na górę do jadalni. Było tu zupełnie ciemno. Wysokie okna zasłonięte były okiennicami i ciężkimi aksamitnymi zasłonami. Pierwszego dnia popełniła błąd, próbując otworzyć te okna i rozproszyć półmrok w pomieszczeniach. Kit wyjaśnił jej, że światło szkodzi obrazom, a wiktoriańskie zasłony nie wytrzymają zbyt częstego odsłaniania i zasłaniania.

Zapaliła światło, postawiła kwiaty na stole i cofnęła się, opierając ręce na biodrach, by ocenić efekt, po czym z rozpaczą uświadomiła sobie, że wszystkie jej wysiłki są beznadziejne. Chryzantemy pana Wattsa może i zdobywały nagrody i na tle innych kwiatów stojących w wiaderkach w sklepiku wydawały się wielkie, ale tutaj, w tej przepaścistej jadalni, prawie nie było ich widać. Wydawały się małe i zagubione, podobnie jak ona sama. Jej starania, by oznaczyć to miejsce jako swoje terytorium i zmienić je w dom, do niczego nie prowadziły. Jaki sens miało stawianie świec zapachowych w holu, skoro nic nie było w stanie przełamać zapachu zimnego kamienia, wilgoci i starości? Jak mogła się tu poczuć u siebie, skoro na każdym kroku napotykała duchy poprzednich właścicieli? Podniosła głowę i popatrzyła na twarze na portretach. Zdawało się, że wszyscy patrzą na nią z pogardą. Tylko jeden portret był inny. Sophie zauważyła go już podczas swojej pierwszej wizyty w Alnburgh, pół roku wcześniej. Przedstawiał kobietę w amarantowej jedwabnej sukni, z różami w wysoko upiętych włosach. Od pozostałych, skwaszonych Fitzroyów odróżniała ją uroda i lekki uśmiech. Ralph mówił jej, że była to śpiewaczka z musicalu, która wpadła w oko ówczesnemu earlowi i wyszła za niego, choć zdecydowanie nie stanowiła dobrego materiału na księżną i dzieliła ich duża różnica wieku. Sophie zadrżała, gdy sobie to przypomniała.

– Ty i ja jesteśmy takie same – mruknęła i już chciała się odwrócić, gdy zauważyła coś jeszcze. Dziewczyna miała ręce złożone na kolanach. Na jej lewej dłoni Sophie zobaczyła swój pierścionek. A więc to tutaj widziała go wcześniej. Podniosła rękę i popatrzyła na opal lśniący w elektrycznym świetle z dwudziestego pierwszego wieku, a potem przeniosła wzrok na kamień namalowany na dłoni osiemnastowiecznej księżnej. Przypomniała sobie, jak ta historia się zakończyła: ciężarna z podobno pozamałżeńskim dzieckiem, cierpiąca na zaawansowany syfilis dziewczyna z obrazu rzuciła się z blanków wschodniej wieży na skały pod zamkiem.

Wcześniej Sophie nie rozumiała, co pani Watts miała na myśli, mówiąc, że opale przynoszą

nieszczęście, ale teraz zaczęło to do niej docierać. Z dwóch pań Fitzroy, które nosiły ten pierścionek przed nią, żadna nie zagościła w Alnburgh długo.

Rainbow mocno wierzyła w znaki i omeny. Szukała ukrytych znaczeń we wszystkim, od fusów herbacianych po gwiazdozbiory. Dorastając, Sophie zawsze uważała to za część ekscentryczności matki, ale teraz, gdy szybko uciekła z jadalni i zgasiła za sobą światło, nie była już tego taka pewna.

– Fundusz powierniczy został założony dwadzieścia osiem lat temu i ja sam byłem jednym z jego uczestników. Pozostali to ówczesna lady Fitzroy, kolega Leo z wojska, starszy partner z firmy księgowej, z której usług korzystał...

Uwaga Kita zaczęła się rozpraszać. Przez cały dzień, a właściwie przez cały tydzień, rozmawiał przez telefon z różnymi ludźmi i głowa już go bolała od rozgryzania finansowej i prawnej sytuacji Alnburgh. Było to niezmiernie skomplikowane, a jeszcze bardziej nudne, ale przynajmniej miał o czym myśleć oprócz Sophie i tego, że zrujnował jej życie.

Były prawnik Leo mówił dalej. Kit dopiero teraz zauważył, że zrobiło się ciemno. Zdziwił się chwilowo i wyrzwał przez wielkie okno wychodzące na plażę. Kolor morza zmienił się. Na niebie gromadziły się wielkie, nabrzmiałe fioletem chmury.

– Napisaliśmy ten dokument bardzo starannie, żeby nie pozostały żadne luki prawne, które mogliby wykorzystać prawnicy Ralpa Fitzroya.

Jeszcze tydzień temu plaża pełna była ludzi: dzieci z wiaderkami i łopatkami, nastolatków z wioski z nielegalną butelką cydru. Teraz jednak zupełnie opustoszała. Po mokrym piasku biegł pies, a w oddali, na tle morza, stała samotna postać w zielonej sukience. Wiatr rozwiewał jej rude włosy.

– Lordzie Fitzroy, czy jest pan tam jeszcze?

– Tak, przepraszam. – Kit zmusił się, by znów skupić uwagę na głosie w słuchawce. – Czy mógłby pan powtórzyć?

– Powiedziałem, że dzięki temu, że fundusz został ustanowiony na długo przed śmiercią Leo Fitzroya, podatek spadkowy będzie znacznie mniejszy.

– To doskonała wiadomość – powiedział Kit obojętnie.

– Oczywiście, po części to dzieło przypadku. Gdy ustanawialiśmy fundusz, nie mieliśmy pojęcia, jak długo pan Fitzroy będzie żył i, szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że przeżyje te ustawowe siedem lat, po których Alnburgh zostałby zwolniony z podatku spadkowego. To czyste szczęście, że udało mu się przetrwać o wiele dłużej.

Zależy, jak na to popatrzeć, pomyślał Kit, przypominając sobie fotografie, które pokazywała mu Juliet.

– Dziękuję panu – rzekł szorstko. Na zewnątrz zerwał się silny wiatr. Sophie nie miała na sobie płaszcza. Nie chciał, by zmokła. Zakończył rozmowę i poszedł do drzwi, chwytając po drodze

plaszcz przeciwdeszczowy z garderoby. Wyszedł z domu wschodnimi drzwiami. Stroma ścieżka biegła stąd przez trawiaste wydmy aż do plaży. Poczuł na skórze pierwsze krople deszczu i zaczął biec.

W oddali dostrzegł Sophie, która wracała już do domu, ale zanim do niej dotarł, lunęło jak z cebra.

Kit w mgnieniu oka przemókł, podobnie jak płaszcz przeciwdeszczowy, który trzymał w ręku.

Gdy zbliżył się do Sophie, usłyszał jej okrzyk zachwytu i śmiech.

– Niesamowite! – zawołała. Rozstawiła szeroko ramiona i uniosła twarz do góry, prosto na strugi deszczu. Pochwycił ją w pól i wziął na ręce. Wiatr poniósł w niebo jej okrzyk radości.

– I tak już jesteśmy przemoczeni – westchnęła. – Do zamku jest daleko, nawet ty nie dasz rady zanieść mnie tam biegiem.

– Nawet nie zamierzam próbować.

Odwrócił się plecami do morza i ruszył ścieżką prowadzącą przez wydmy.

– Dokąd idziemy?

– Zobaczysz.

Droga była bardziej stroma, niż pamiętał, nogi ślizgały mu się po piasku, ale w końcu znaleźli się po drugiej stronie wydmy. Tak jak pamiętał, farma wyrosła tuż przed nimi.

– Jaki piękny dom! – zawołała Sophie, przekrzykując odgłos ulewy. – Znasz mieszkańców?

– Tak.

Pchnął furtkę i wystukał kod na klawiaturze przy drzwiach, dziękując Bogu za to, że Ralph miał niewiele fantazji i użył daty urodzin Tatiany jako kodu w całej posiadłości.

– Możesz mnie już postawić – powiedziała Sophie.

– Nie, jeszcze nie.

Drzwi otworzyły się. Przeniósł ją przez próg i gardło mu się ścisnęło, gdy uświadomił sobie symboliczne znaczenie tego gestu. Zamknął drzwi nogą i dopiero wtedy wypuścił ją z objęć. Oparła się o niego i rozejrzała się po dużej, niskiej kuchni farmerskiej.

– Czuję się jak Złotowłosa – westchnęła, zaglądając do koszyka na stole. – Czyj to dom?

– Należy do Alburgh.

Sophie wyjęła z koszyka butelkę wina i paczkę herbatników.

– To znaczy do ciebie, lordzie Fitzroy? Mogę się rozejrzeć?

– Proszę bardzo.

Za kuchnią znajdował się kwadratowy korytarzyk, z którego na górę wiodły schody. Kilko drzwi prowadziło do kolejnych pomieszczeń. Sophie otworzyła jedno z nich i poczuli zapach dymu. Był to duży pokój z kominkiem i wielkim oknem wychodzącym na plażę.

Przechodziła z jednego pomieszczenia do drugiego z dziwnym uczuciem, że ten dom czekał właśnie na nią. Na górze znalazła pokój dziecięcy z kołyską i łóżeczkiem przykrytym niebieskim kiltem. Przez

strugi deszczu zalewające szybę dostrzegła w ogrodzie huśtawkę. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale słowa utknęły jej w gardle. Kit łagodnie pociągnął ją znów do drzwi.

– Pozwól, że pokażę ci jeszcze sypialnię – mruknął głosem, od którego kolana natychmiast pod nią zmiękły. Przymknęła oczy, a gdy znów je otworzyła, zobaczyła duży, niski pokój z kominkiem i wielkim oknem, takim samym jak w bawialni piętro niżej. Coś w tej spokojnej sypialni o nierównych ścianach i wybrzuszonej podłodze sprawiło, że poczuła się tak, jakby po bardzo długim biegu wreszcie dotarła do celu i już nigdzie nie musiała się spieszyć.

– Podoba mi się ten dom – powiedziała cicho. – Często tu przychodzisz?

– Często tu zaglądałem, gdy byłem dzieckiem. Wtedy była to zwykła farma. Mieszkali tu ludzie o nazwisku Prior. Lubili mnie. Może trochę mi współczuli. Dla wszystkich było oczywiste, że gdy Ralph ożenił się powtórnie i urodził się Jasper, ja stałem się w domu piątym kołem u wozu. Gdy trochę podrosłem, pozwalali mi pomagać na farmie.

– I co się stało z tymi ludźmi?

– To samo co z pozostałymi dzierżawcami. Tatiana wpadła na pomysł, żeby przekształcić wszystkie domy na terenie posiadłości w domy do wynajęcia na lato. Nie wyszli na tym źle, i tak zamierzała już przejść na emeryturę. Ale wielu innych straciło domy, w których ich rodziny żyły od pokoleń. Tatiana twierdziła, że sama będzie wszystkim zarządzać, ale oczywiście interesowało ją tylko zarządzanie wewnątrz, a potem szybko się znudziła i przekazała zarządzanie agencji.

– Ach – westchnęła Sophie. – Czyli ten dom jest wynajmowany? Miałam nadzieję, że będziemy mogli się tu zatrzymać. Zaraz, a ten koszyk na stole? Czy ktoś ma się tu dzisiaj pojawić?

– Nowi goście zwykle pojawiają się w piątki, więc dzisiaj powinniśmy być bezpieczni. Możemy skorzystać z tego, co agencja zostawiła. Jutro każę przysłać nowy koszyk. Otworzymy wino?

Miało to być retoryczne pytanie, bo Sophie nigdy wcześniej nie odmówiła wina. Teraz jednak zawahała się, omijając wzrokiem jego twarz.

– Nie, ale mam wielką ochotę na herbatę. Ile kosztuje pobyt tutaj? Jeśli tylko będzie mnie na to stać, to bardzo chętnie wynajmę ten dom.

Sophie wsunęła się do ciepłej pachnącej wody, westchnęła i przymknęła oczy. Brała kąpiel w łazience Tatiany, ponieważ była to najwygodniejsza łazienka w Alnburgh, przebudowana przez dekoratora wewnątrz bez oszczędzania na kosztach. Niestety, dekorator nie miał najlepszego gustu. Nawet przez przymknięte powieki oślepiał ją blask około setki halogenowych lampek, odbity od wypolerowanego marmuru, złotych kranów i lusterek pokrywających całe ściany. W Alnburgh wszystko było ekstremalne. Połowy budynku nie tknięto od stu lat, a druga połowa przypominała witrynę supermarketu w okresie Bożego Narodzenia, żadna przy tym nie była szczególnie atrakcyjna ani wygodna.

Wyszła z wanny, sięgnęła po ręcznik i naraz poczuła przeszywający ból w podbrzuszu. Na jasnoniebieskim ręczniku pojawiła się czerwona plama.

Nie było dziecka.

– To świetne wiadomości, Randall.

Kit oparł się ciężko na biurku w bibliotece i zacisnął powieki. W głosie Randalla rozbrzmiewał zaraźliwy optymizm.

– Oczywiście Lewis jest młody i silny i to mu pomoże w fizycznej rekonwalescencji. A poza tym ma motywację, żeby jak najszybciej wyjść ze szpitala, bo za kilka tygodni ma się urodzić jego dziecko. Miejmy nadzieję, że zdąży na poród.

Kit podszedł do okna. Odległe morze było spokojne, plaża szeroka i czysta po burzy.

– Jak sobie z tym radzi jego rodzina?

– Rodzina razem z przyjaciółmi i sąsiadami planuje wielką imprezę na jego powrót. – Randall urwał na chwilę i dodał niechętnie: – Gorzej z dziewczyną. Nie dałbym sobie uciąć ręki, że z nim zostanie. Mam tylko nadzieję, że okaże chociaż tyle przyzwoitości, żeby zaczekać, aż Lewis stanie na nogi.

Kit wpatrzył się w miejsce na horyzoncie, gdzie morze łączyło się z niebem.

– Myślę, że dla żadnego z nich nie jest to łatwe. Ona też jest prawie dzieckiem. Nie tego się spodziewała, gdy zaczęła się z nim spotykać.

– Może masz rację – westchnął Randall. – Przepraszam, jestem po długim dyżurze i chyba trochę straciłem perspektywę. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku. – Powoli rozprostował i znów zacisnął odrętwiałe palce lewej ręki. – Powiedz Lewisowi, że zajrzę do niego jutro.

– Gdybyś czegoś potrzebował, to pamiętaj, że tu jestem – podsunął łagodnie Randall.

– Będę pamiętał. Dzięki.

Drżącą ręką wyłączył telefon, powtarzając sobie, że niczego nie chce wiedzieć, i poszedł na górę poszukać Sophie. Naraz ogarnęło go okropne przecucie, że każda godzina, każda sekunda spędzona z nią jest cenna, bo pozostało mu już bardzo niewiele czasu.

Zastukał do drzwi sypialni i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Sophie, owinięta jasnoniebieskim ręcznikiem, rozczesywała włosy, siedząc przy dębowej toaletce. Gdy stanął za nią, nie odłożyła szczotki ani nie podniosła wzroku. Stare lustro przydawało jej ponadczasowej, wiecznej urody. Wydawała się poza jego zasięgiem. Chciał się przekonać, że naprawdę tu jest, że naprawdę należy do niego. Odgarnął włosy na bok i pochylił się, by pocałować jej kark.

– Dzwoniłeś do szpitala? – zapytała cicho, schylając głowę.

– Mhm.

– Jak się czuje Lewis?

– Lepiej.

Pochyliła się jeszcze bardziej, odsuwając się od Kita.

– Co to znaczy: lepiej? Odzyskał zdrowie i wraca do domu czy tylko wyszedł ze stanu krytycznego?

Kit nie chciał się nad tym zastanawiać. Jej skóra była jak aksamit. Objął ją i odsunął ręcznik.

– Coś pośredniego.

Poczuł jej dłonie na swoich i w pierwszej chwili pomyślał, że jak zwykle przeniknęła jego myśli,

ona jednak wstała i odepchnęła go.

– Przestań, Kit.

Zdumiony, cofnął się o krok. Sophie owinęła się ciasniej ręcznikiem i znów usiadła na krześle, pochylając głowę tak, że nie widział jej twarzy.

– Co się stało?

Lekko wzruszyła ramionami, ale nie podniosła wzroku.

– Ty mi powiedz.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – westchnął ze zniecierpliwieniem. – Czy mam zgadywać, co się

dzieje w twojej głowie?

– Może. Przynajmniej się przekonasz, jak ja się czuję przez cały czas.

Mówiła cicho, ale wyraźnie słyszał w jej głosie ton goryczy. Poczuł niepokój i z tego powodu jego głos zabrzmiał chłodniej, niż zamierzał.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że nie zgadzam się już dłużej, żebyś przez cały czas odsuwał mnie od siebie i zamykał się przede mną.

Kit zaśmiał się krótko.

– Przepraszam, ale zdaje się, że to ty mnie przed chwilą odepchnęłaś.

– Chodziło o seks, Kit. A ja mówię o bliskości, o rozmowie. – Jej głos drżał od emocji. Podniosła głowę i dopiero teraz zobaczył jej twarz.

– Sophie, płakałaś! Co się stało? – Był wstrząśnięty. Sophie nigdy nie płakała, chyba że na widok pająka. Zaczął się szybko zastanawiać, co ją mogło doprowadzić do takiego stanu. – Posłuchaj, jeśli tak źle się tu czujesz...

Potrząsnęła głową i szybko otarła łzy wierzchem dłoni.

– Nie o to chodzi. To znaczy, nie przepadam za tym miejscem, ale mogłabym mieszkać nawet w jaskini, byle z tobą.

– Przecież jesteś ze mną.

– Nie. – Znów podniosła głowę i napotkała jego wzrok w lustrze. – Sypiamy razem, Kit. Łączy nas

seks, dużo seksu. Czasami potem jemy razem śniadanie, ale nie rozmawiamy, a w każdym razie o niczym ważnym.

– Na przykład o czym?

– Na przykład o naszej przyszłości. – Jej oddech przyspieszył. – Ani o przeszłości, ani o tym, co się z tobą działo, kiedy cię tu nie było.

– Nie ma o czym mówić – warknął. – Tam przez cały czas dzieją się różne rzeczy. Okropne rzeczy. I nie można o nich myśleć, żeby nie zwariować. Dlatego lepiej o nich nie myśleć. Zostawia się je tam i wraca do domu, żeby zapomnieć.

– Dobrze. Rozumiem. Nie chcesz ze mną rozmawiać – uśmiechnęła się krzywo. – Ale ja muszę porozmawiać z tobą. Pięć miesięcy to dużo czasu. Zdarzyło się tu wiele rzeczy, o których nie miałam okazji ci powiedzieć.

Kit poczuł, że krew w jego żyłach zlodowaciała.

– Jakich rzeczy?

– Nic strasznego, ale musimy o tym porozmawiać. Tak jak chciałeś, poszłam do lekarza w sprawie moich okresów.

– No i?

– Mam endometriozę. – Spojrzała na szczotkę, którą bezmyślnie obracała w ręku. – Tak jak przypuszczałam, ale lekarz ostrzegł mnie, że mogę mieć kłopoty z zajściem w ciążę. Powiedział, że lepiej nie czekać zbyt długo z założeniem rodziny i...

– Sophie.

Popatrzyła na niego buntowniczo, ignorując ostrzeżenie w jego głosie.

– Natychmiast po tym odstawiłam pigułkę.

Kit obrócił się na pięcie z wrażeniem, że poraził go prąd elektryczny. Przez chwilę był zupełnie odrętwiały. W jego umyśle rozbrzmiewały słowa: „dziesięć procent przypadków”.

– Zanim tu wróciłem? – wychrypiął, unosząc dłonie do skroni. – Czyli przez ostatnie dwa tygodnie...

– Nie jestem w ciąży.

To chłodne, pozbawione emocji stwierdzenie powstrzymało panikę. Znów opuścił ręce wzdłuż boków. Był przerażony, gdy sobie uświadomił, że zachowywanie lęków dla siebie mogło mieć tak daleko idące konsekwencje, ale przede wszystkim poczuł ulgę.

– Przykro mi – powiedział, ale nawet w jego uszach nie brzmiało to przekonująco.

– Naprawdę? – Sophie z furią podniosła się z krzesła. – Bo przez chwilę wydawało mi się, że zupełnie nie jest ci przykro, że raczej poczułeś ulgę! – Podniosła ręce, jakby chciała go odepchnąć. – Nawet nie próbuj zaprzeczać, Kit. To nie ma sensu. I wcale mnie to nie dziwi, bo coraz jaśniej widzę, że nie ma dla nas żadnej przyszłości. Powiedz, czy tylko z grzeczności nie zerwałeś ze mną do



tej pory? Czy zamierzałeś po prostu zamykać się przede mną coraz bardziej w nadziei, że w końcu sama odejdę, a ty będziesz mógł wymieszać geny Fitzroyów z kimś o bardziej odpowiednim rodowodzie?

Te słowa raniły go jak drut kolczasty, ale wiedział, że sam był sobie winien. Zacisnął zęby i przygotował się na kolejne ciosy.

– Nie.

Sophie odrzuciła włosy do tyłu. Jej śmiech przypominał szloch. Było to jeszcze bardziej bolesne niż wcześniejsza wściekłość.

– Musisz się bardziej postarać, Kit. Teraz powinienes wziąć mnie w ramiona, powiedzieć, że to wszystko nie tak i obiecać, że któregoś dnia stworzymy rodzinę. Nie czytałeś tego scenariusza?

Musiał zebrać całą odwagę, żeby spojrzeć w jej oczy. Miał wrażenie, że połyka arsenik.

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

Pod powiekami Sophie zbierał się mrok. Czowała dziwne dzwonięcie w uszach i przez chwilę wydawało jej się, że zasłabnie. Przed jej oczami majaczyła twarz Kita – twarda, jakby wyciosana z kamienia.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Zdawało się, że jego głos dochodzi z bardzo daleka. Odwrócił się do niej plecami. Cieszyła się z tego, bo nie mógł zauważyć, że musiała się przytrzymać komody, żeby nie upaść. Nie był to nieoczekiwany cios – spodziewała się go od kolacji w Villi Luana – musiała tylko zdobyć się na godność.

– Wszystko w porządku – powiedziała zduszonym tonem. – Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Rozumiem. Kiedy pytałeś, czy za ciebie wyjdę, sytuacja wyglądała inaczej. Wiem, że od tego czasu wszystko się zmieniło.

– Tak. Wszystko się zmieniło. – W jego głosie brzmiało takie znużenie, że niewiele brakowało, a zaczęłaby mu współczuć. – Ale to nie ma nic wspólnego z Alnburgh, tylko ze mną.

– Och, Boże – zaśmiała się histerycznie. – „To nie twoja wina, tylko moja”. To bardzo stary tekst, Kit.

Nie uśmiechnął się. Stał przed oknem, surowy i piękny jak malowidło świętego w Kaplicy Sykstyńskiej, podziwiając kolejny widowiskowy zachód słońca.

– To prawda. Żałuję. Wolałbym, żeby tak nie było, ale tak jest. Nie jestem tym człowiekiem, tym bohaterem – jego usta drgnęły – za jakiego mnie uważasz.

Sophie zdała sobie sprawę, że drży z zimna. Powinna się ubrać, ale nie potrafiła się na to zdobyć w jego obecności. Naraz wydał jej się zupełnie obcy.

– Pamiętasz wypadek, który zdarzył się tego dnia, kiedy wróciłem? – Kit pochylił głowę. – Ten, po

którym dziewiętnastoletni chłopak znalazł się na intensywnej terapii z kulami w głowie i plecach? Powinienem się nim zaopiekować, tak jak mówiłaś. To, co się stało, było moją winą. Tylko i wyłącznie moją.

Stał przy oknie z twarzą ukrytą w cieniu.

– To nieprawda. Przy wybuchu...

– On nie został ranny wskutek wybuchu – rzekł Kit z wystudiowaną cierpliwością. – Został ranny, zanim bomba wybuchła. Trafiony przez wrogiego snajpera.

– I dlaczego to ma być twoja wina?

– Bo należał do grupy, która miała mnie osłaniać, gdy ja rozbrajałem ładunek. – Zaciskając palce na parapecie, patrzył niewidzącym wzrokiem na plażę. – Dostaliśmy wezwanie do mostu przy jednej z głównych dróg do miasta, gdzie często działali partyzanci. Bomba była pod mostem. Cała sytuacja przypominała koszmar. To miejsce było widoczne z każdej strony, z setek dachów, okien i balkonów. Można oczyścić teren bezpośrednio dookoła bomby, ale nie da się zachować zupełnego bezpieczeństwa w takim miejscu. Trzeba po prostu pójść i zrobić swoje jak najszybciej.

Sophie stała pośrodku pokoju, drżąc na całym ciele.

– Nie byłem w stanie tego zrobić – mówił Kit z goryczą. – Nie mogłem, bo nie czułem palców. Ręce mi drżały. Upuściłem kombinerki. Byłem w stanie myśleć tylko o tobie. – Przerwał i wziął urywany oddech. – Właśnie wtedy zaczęli strzelać. Wiedziałem, że zawałem sprawę. Nic już nie mogłem zrobić. Trzeba było uciekać stamtąd jak najszybciej. Biegłem do samochodu, kiedy bomba wybuchła, ale Lewis został postrzelony wcześniej.

– Och, Kit. – Sophie podeszła do niego jak we śnie. – To nie była twoja wina. Musisz w to uwierzyć. To się mogło zdarzyć każdemu.

Powoli oderwał się od parapetu i spojrzał na nią. Na widok grymasu na jego twarzy zastygła.

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Wszystko złożyło się w całość, gdy moja matka wspomniała o chorobie Leo. – Jego twarz drgnęła. – Jakby mało było tego, że odziedziczyłem po nim Alburgh. Zdaje się, że to najmniejszy z moich problemów. Alburgh mogę zostawić, wyjechać stąd.

– Boisz się, że jesteś chory na to samo co on? – zapytała szeptem.

– Rozmawiałem z przyjacielem, lekarzem. Pierwsze objawy to niezdolność ruchów i utrata czucia w rękach. Juliet mówiła, że to jest dziedziczne w dziesięciu procentach przypadków. Dlatego cieszę się, że nie jesteś w ciąży.

Podeszła do niego, chcąc go objąć. Wreszcie zaświtała jej iskra nadziei i ulgi. Kit wreszcie się przed nią otworzył i miała szansę coś zrozumieć. Teraz, gdy już wiedziała, na czym polega problem, mogła sobie jakoś z nim poradzić.

– Musisz się zbadać – powiedziała łagodnie, otaczając go ramionami. – Dowiedzieć się na pewno.

– Muszę?

Nie była pewna, co jest gorsze: jego lakoniczny, pozbawiony wyrazu głos czy sztywność ciała.

– Oczywiście, że tak. Im szybciej się dowiemy, tym lepiej. A potem razem będziemy się zastanawiać, jak sobie poradzić z faktami, jakiegokolwiek będą.

Potrząsnął głową.

– Nie – westchnął, wpatrując się w nią nieruchomo. – Jeśli mam to, co miał ojciec – jego twarz zadrgała przy słowie „ojciec” – to będziemy musieli się rozstać. Nie zamierzam skazywać cię na powolną śmierć przy moim boku.

Sophie z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Chyba nie mówisz poważnie. Chcesz zrezygnować z tego, co nas łączy, bo...

– Tak. – W jego głosie brzmiała ponura determinacja. – Rozmawiałem z Juliet. Wiem, co to oznacza. Jeśli jestem na to chory, to nie ożenię się z tobą, Sophie. Przykro mi.

Cofnęła się, z trudem łapiąc oddech.

– Mam wielką nadzieję, że tak nie jest – powiedziała bez tchu. – Nikt nie zasługuje na taką chorobę. Ale skoro tak uważasz, to nawet jeśli nie jesteś chory, między nami wszystko jest skończone. – Było jej niedobrze. Znow zaczęła się obawiać, że zemdleje. Przytrzymała się skraju toaletki. – Małżeństwo jest na dobre i na złe. W zdrowiu i w chorobie. Chodzi o to, żeby przechodzić przez wszystko razem, więc...

Patrzyła na niego przez dzielącą ich przestrzeń, pragnąc, by ją przekroczył, wziął ją w ramiona i powiedział, że to ona ma rację, a on nie myślał trzeźwo. Ale Kit nie poruszył się, nie otworzył ust i pozwolił jej wypowiedzieć słowa, których nie chciała wypowiedzieć.

– Może nigdy nie było dla nas szansy – szepnęła.

Kit przymknął na chwilę oczy.

– Skoro tak uważasz, to nie będę próbował cię przekonywać.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem Kit wyszedł z sypialni, sztywny z napięcia. Sophie opadła na krzesło, słuchając jego oddalających się kroków. Krzyki mew za oknem brzmiały jak maniackalny śmiech.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego wieczoru Kit nie przyszedł do sypialni. Sophie słuchała wielkiego zegara wybijającego kolejne godziny, aż w końcu niebo zaczęło jaśnieć. Po raz pierwszy w życiu nie mogła zasnąć i zroszciała, jakie tortury Kit musiał przechodzić z powodu bezsenności. Ale to było wszystko, co potrafiła zrozumieć.

Odrzuciła kołdrę i wyszła z łóżka. Kochała go za bardzo, żeby tak po prostu odejść, szczególnie gdy Kit stał być może przed największym wyzwaniem w swoim życiu. Złoty pas światła na niebie zwiastował początek nowego dnia. Sophie miała nadzieję, że to dobry omen. Nałożyła dzinsy i poszła do drzwi. Od braku snu kręciło jej się w głowie. Zastanawiała się, gdzie Kit spędził ostatnią noc i czy w ogóle spał. Zaczęła poszukiwania od biblioteki, ale zanim tam dotarła, usłyszała kroki w galerii. Był całkowicie ubrany i z kurtką w ręku szedł w stronę wyjścia.

– Kit? – Podeszła do niego z mocno bijącym sercem.

Na chwilę znieruchomiał i dopiero potem odwrócił się w jej stronę. Jego twarz nie wyrażała zupełnie niczego.

– Nie chciałem cię budzić. – Pokazał jej długopis i papier z nagłówkiem Alnburgh. – Chciałem ci zostawić wiadomość.

– Jaką wiadomość? – zapytała, dzwoniąc zębami.

– Jadę w odwiedziny do Lewisa. To cztery godziny w jedną stronę, więc muszę wyjechać wcześniej, jeśli mam wrócić wieczorem.

– Wrócisz tu?

– Oczywiście – odrzekł ze znużeniem. – A gdzie miałbym pojechać?

– Nie wiem. Myślałam, że... – wyjąkała. – Przepraszam cię za wczorajszy wieczór. Wiem, że przez ostatnie tygodnie przeszedłeś piekło, zamartwiając się o swoje zdrowie, i tak mi przykro, że byłeś z tym sam. – Kit odsunął zasuwę i otworzył drzwi. Sophie zamruwała, gdy hol zalało jasne światło i do środka wdarło się chłodne, jesienne powietrze. – Ale teraz nie jesteś już sam. Cokolwiek będzie się działo, jesteśmy w tym razem.

Zatrzymał się w progu. W porannym świetle na jego twarzy widać było ślady wyczerpania.

– Nie, Sophie – westchnął z rezygnacją. – Wczoraj mówiłem poważnie. Nie zrobię ci tego. Jesteś najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu spotkałem. – Przelotnie dotknął jej policzka. – Nie chcę cię skazywać na życie, w którym musiałabyś patrzeć na moją powolną śmierć.

Sophie gwałtownie wciągnęła oddech.

– Ale ja cię kocham bez względu na wszystko, co może się stać.

Zszedł po schodkach w mglisty poranek, otworzył samochód i wrzucił kurtkę na tylne siedzenie.

– Sophie, teraz tak mówisz. Ale jak długo będziesz tak czuła? Jeśli to jest to, co myślę, to wszystko się między nami zmieni.

– Oprócz moich uczuć.

– Nie możesz być tego pewna.

Podeszła do samochodu.

– Mogę, ale tu nie chodzi o mnie, prawda? Tylko o ciebie. Nie potrafisz tego zrozumieć, bo sam

tego nie czujesz. – Naraz coś jej przyszło do głowy. – A może chodzi o coś więcej? Może nie potrafisz pogodzić się z myślą, że matka opuściła cię przed laty? – Zauważyła, że przymrużył oczy i w jego ciele pojawiło się napięcie. Zaśmiała się histerycznie, uświadamiając sobie, że trafiła w czuły punkt. – Chcesz mnie ukarać za to, co ona zrobiła, i za to, że Ralph przestał cię kochać, gdy się dowiedział, że nie jesteś jego synem.

– Wystarczy już!

Obrócił się na pięcie i Sophie zauważyła twarde mięśnie jego ramienia oraz zaciśniętą pięść.

Wykrzyknęła z przerażenia i uchyliła się, odruchowo osłaniając twarz dłońmi. Usłyszała głuchy dźwięk. Pięść Kita uderzyła w błotnik samochodu z taką siłą, że zostawiła w nim wgniecenie. Potem zapadła cisza.

Może to ból przywrócił Kitowi przytomność umysłu, a może sprawił to krzyk Sophie, ale gwałtowny impuls przeminął równie szybko, jak nadszedł. Przez chwilę Kit stał zupełnie nieruchomo z rękami opartymi o bagażnik samochodu i pochyloną głową. Sophie słyszała jego wytężony oddech.

Potem zebrał wszystkie siły i odwrócił się do niej. Stała przyklejona do ściany zamku z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, jakby chciała powstrzymać dreszcze, ale najbardziej wstrząsającym widokiem była jej twarz. Widział wcześniej taki wyraz twarzy u ludzi, którzy byli świadkami okropnych, traumatycznych wydarzeń: woskowa maska zastygłego strachu. Wyrzuty sumienia i obrzydzenie do siebie przeniknęły go do głębi duszy.

– Boże, Sophie! Przepraszam cię, ja... – Instynktownie zbliżył się do niej, chcąc ją wziąć w ramiona, ona jednak cofnęła się z przerażeniem.

– Proszę, nie – powiedziała dziwnym, zduszonym głosem i przymknęła oczy, jakby nie mogła na niego patrzeć. – Jedź już. Jedź.

Przez chwilę nie mógł się poruszyć. Zdawał sobie sprawę, że przekroczył wszelkie granice. Gdy wsiadał do samochodu, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł trafić kluczykiem do stacyjki. Gdy w końcu udało mu się zapalić silnik i podniósł wzrok, Sophie zniknęła już w zamku.

Jechał za szybko, z takim samym napięciem i jasnością umysłu, jaka pojawiała się, gdy wpadł we wrogą zasadzkę, ale choć przemierzał milę za milą, nie miał pojęcia, gdzie jest ani jak długo już

jedzie. Wciąż widział przed sobą twarz Sophie. Nawet przez chwilę nie groziło jej, że ją uderzy, ale to, jak cofnęła się z przerażeniem, unosząc obronnie ręce, wystarczyło, by żółć podeszła mu do gardła. Patrzył na swoje odbicie we wstecznym lusterku i widział twarz obcego – obcego, którego nie miał ochoty poznać.

Strzałka szybkościomierza trwała nieruchomo w jednej pozycji, asfalt uciekał spod kół. Ze zdziwieniem zauważył przed sobą tablicę z nazwą miejscowości, do której zmierzał. Zjeżdżając z autostrady, wyszedł z transu. Zatrzymał samochód na szpitalnym parkingu, wyciągnął komórkę z kieszeni i zadzwonił do Alburgh. W wyobraźni słyszał dźwięk telefonu w galerii portretowej. Mijały kolejne sekundy. Gdy już chciał się poddać, ktoś podniósł słuchawkę i po chwili usłyszał cichy głos Sophie.

– Sophie, to ja – powiedział ochryple.

Zapadło milczenie. Wyobrażał sobie jej twarz, zmarszczkę między ściągniętymi brwiami, zaciśnięte usta.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie podjechałem pod szpital. Musiałem zadzwonić, żeby cię przeprosić.

– Nie ma potrzeby – powiedziała szybko i żałośnie. – To nie twoja wina. To ja przepraszam.

– Proszę, nie próbuj brać odpowiedzialności za moje przewinienia. Miałaś rację. – Przymknął oczy i rozmasował czoło czubkami palców, jakby chciał wytrzeć wspomnienia tego, co zrobił.

– W czym miałam rację?

– W tym, co powiedziałaś o mojej matce i o Ralphie. Nie chciałem tego usłyszeć i dlatego straciłem kontrolę nad sobą. Ale nigdy bym cię nie uderzył, Sophie. Nie wiem, co myślisz, ale chciałbym, żebyś w to uwierzyła. Nigdy w życiu bym cię nie uderzył.

Zapadło długie milczenie.

– Wyrzuciłeś mnie ze swojego życia, Kit. Nic nie mogłoby boleć mnie bardziej.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę patrzyła na telefon. Oczy miała suche, ale łzy tylko czekały odpowiedniej chwili. Wiedziała, że gdy już popłyną, będą płynąć długo.

Gdy Kit powiedział, że miała rację, przez chwilę poczuła nadzieję, że zmienił zdanie i że musi być z nią bez względu na wszystko, że razem dadzą radę wszystkiemu, co życie może postawić na ich drodze, że jego miłość jest bezwarunkowa. Ale tak się nie stało. Po prostu czuł się winny, że ją przestraszył. Nie mógł wiedzieć, że w chwili, gdy podniósł zaciśniętą pięść, wróciło do niej wspomnienie długo zagrzebane w mrokach niepamięci i właśnie ono sprawiło, że poczuła w ustach metaliczny posmak strachu.

Sięgnęła po torbę i ruszyła wzdłuż galerii, patrząc na poważne twarze Fitzroyów oraz wypchane głowy zwierząt zastygłe w grymasie śmierci. Pod wpływem impulsu otworzyła drzwi do jadalni,

zapała światło i podeszła do portretu kobiety z różami we włosach i z Czarną Gwiazdą na palcu.

Podniosła rękę i popatrzyła na ciemny opal, a potem bardzo powoli zdjęła pierścionek z palca.

Poczuła się bez niego dziwnie lekko i pusto. Odłożyła go na gzyms na kominku tuż pod portretem i wyszła z pokoju.

Specjalistyczne Wojskowe Centrum Rehabilitacji, gdzie przeniesiono Lewisa z oddziału intensywnej opieki, było nowe, wykończone w czystych, jasnych barwach. Kit szedł za pulchną pielęgniarką pachnącą farbą korytarzem do sali Lewisa. Pielęgniarka zastukała i, nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi.

– Ktoś chce się z panem zobaczyć.

Przez otwarte drzwi Kit dostrzegł Lewisa siedzącego przed telewizorem z konsolą do gier w rękę.

Na dźwięk głosu pielęgniarki obrócił głowę, ale nadzieja na jego twarzy natychmiast zgasła, gdy zobaczył za jej plecami Kita.

– Ach, to pan – powiedział pochmurnie, oblewając się rumieńcem. – Co pan tu robi?

– Chciałem zobaczyć, jak się miewasz. Mogę usiąść?

Lewis skinął głową, ale nie odwrócił wzroku od ekranu, na którym linia kolejowa wiła się pomiędzy obskurnymi budynkami. Kit przysiadł na łóżku i roztarł piekące wnętrza dłoni o uda. Lewis był tylko cieniem chłopaka, który tamtego ranka przed kilkoma tygodniami przyniósł mu kawę i z nadmiernego pośpiechu i entuzjazmu wylał większość na piasek. Bardzo schudł. Z ogolonymi włosami i blizną w miejscu, skąd wyjęto mu kulę, wyglądał bardzo krucho, jak dziecko.

– Dobrze wyglądasz – skłamał Kit z zimną krwią. – W każdym razie znacznie lepiej niż wtedy, gdy widziałem cię po raz ostatni. Jak się czujesz?

Lewis odpowiedział jednym krótkim słowem. Była to zwięzła odpowiedź, nawet jeśli nie taka, jakiej można by oczekiwać wobec przełożonego. Nie odrywał oczu od ekranu, na którym mroczne postacie wyskakiwały z budynków i z kontenerów stojących przy linii kolejowej. Kit rozumiał go aż zbyt dobrze, więc nie skomentował tej odpowiedzi.

– Przykro mi to słyszeć. Rozmawiałem z doktorem Randallem. Mówi, że zrobiłeś wielkie postępy i że jesteś bardzo dzielny. Wielu innych nie dałoby rady przejść przez to co ty.

Lewis przez cały czas przyciskał czerwony guzik na konsoli. Ekran rozświetlały kolejne salwy amunicji.

– Od tej strony wszystko jest w porządku – odrzekł tępo. – Muszę wrócić do zdrowia, do takiego stanu jak wcześniej.

– Chcesz tam wrócić?

– Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem. Jeśli tutaj mi nie wyjdzie... – Nie dokończył zdania. Jego kciuk wciąż przyciskał guzik, niszcząc animowanego wroga.

– Co słysząc u Kelly?

Ekran rozjarzył się ogniem. Lewis opuścił ramiona.

– Nie wiem. Nie widziałem jej. Nie przychodzi tu, mówi, że boi się szpitali.

Kit zaklął w duchu. Czuł napięcie gromadzące się w mięśniach karku.

– W takim razie masz dobrą motywację, żeby stąd wyjść.

Lewis prowadził teraz postać w mundurze SAS po opuszczonej ulicy.

– Też tak myślałem, ale teraz sam nie wiem... Jeden kumpel powiedział mi, że ona się z kimś spotyka. Facet pracuje na siłowni, do której kiedyś chodziłem. – Z ciemnego okna wytrysnęły czerwone strugi ognia i postać na ekranie upadła na ziemię. – Nie mogę jej za to winić, wystarczy na mnie popatrzeć. – Odrzucił konsolę, wstał i szeroko rozłożył ramiona. – Żal patrzeć. Nawet nie mogę się ubrać bez pomocy. Nie ma mowy, żebym zrobił pięćdziesiąt pompek, a wiem, że to na początku spodobało jej się we mnie najbardziej. Byłem wtedy sprawny, a teraz jestem nikim.

– Bzdury, saperze! – Po siedemnastu latach wojskowej dyscypliny Kit potrafił się zdobyć na równy, pozbawiony emocji ton. – Jesteś żołnierzem, którego trafiło kilka kul, gdy wykonywał zadanie, przy którym ten trener z siłowni popłakałby się jak dziecko. Pewnie nigdy w życiu nie zdarzyło mu się nic gorszego niż naderwany mięsień. Ciebie postrzelono z bliska z półautomatu. Zrobił to człowiek, który chciał cię zabić. A ty się nie poddałeś.

Twarz Lewisa zmieniała się jakby w zwolnionym tempie. W oczach zebrały się łzy i spłynęły po zapadniętych pergaminowych policzkach.

– Chciałem być bohaterem dla niej – wyszłochał, ocierając oczy jak mały chłopiec. – Przez cały czas, kiedy tam byliśmy, myślałem o niej i o dziecku. Chciałem, żeby była ze mnie dumna, a tymczasem straciłem ich.

Kit podniósł się, starając się omijać wzrokiem drgającą w agonii postać żołnierza na ekranie. Dłonie paliły go, jakby zanurzył je w kwasie.

– Nie możesz tak na to patrzeć. Masz szczęście. Kiedy widziałem cię ostatni raz, lekarze nie byli pewni, czy kula trafiła w rdzeń kręgowy. Nie wiedzieli, czy jeszcze będziesz chodził. A ty stanąłeś na nogi. Wrócisz do zdrowia.

Lewis podniósł zalaną łzami twarz i popatrzył na niego bezradnie.

– I co z tego? Wolałbym być inwalidą i mieć ją przy sobie niż chodzić i prowadzić normalne życie bez niej.

Kit już otwierał usta, by odrzec coś szorstko, ale znów je zamknął. Kątem oka widział, że gra na ekranie zaczęła się od początku. Żołnierz znów szedł ulicą, tym razem sterowany automatycznie, a w oknach i na dachach gromadzili się snajperzy.

– Nie wybieramy tego, co nam się zdarza – powiedział ochryple. – Musimy po prostu jak najlepiej



radzić sobie z tymi kartami, które dostaliśmy. Znajdziesz kogoś, kto będzie cię naprawdę kochał i komu nie będziesz musiał niczego udowadniać. – Z wysiłkiem odwrócił twarz od ekranu i popatrzył na Lewisa pustymi oczami, próbując zobaczyć jego twarz tak, jak wyglądała teraz, bez krwi, która spływała z niej i wsiąkała w piasek. – Ale kiedy już ją znajdziesz, nie możesz się okazać na tyle głupi, by ją od siebie odepchnąć.

Lewis ze złością otarł łzy z policzków.

– Kłopot w tym, że ja nie chcę nikogo innego. Chcę ją.

Kit podszedł do drzwi.

– To nie pozwól jej odejść – powiedział ze znużeniem. – Walcz o nią.

Na korytarzu oparł się ścianę i wziął głęboki oddech.

– Kit? – Poczul na ramieniu dłoń Randalla. – Dobrze się czujesz?

Zdawało się, że ostatnio wszyscy go o to pytali, a on zawsze podawał tę samą nieprawdziwą odpowiedź, ale poczul, że już koniec kłamstw. Podniósł głowę i popatrzył Randallowi w oczy.

– Prawdę mówiąc, nie. – Podniósł drżące dłonie i uśmiechnął się blado. – Te badania, o które pytałem cię przez telefon. Na czym polegają?

Twarz Randalla przybrała obojętny, profesjonalny wyraz. Zatrzymał wzrok na dłoniach Kita.

– Nic bardzo skomplikowanego. Jeśli chcesz, to możemy zacząć od najprostszych rzeczy.

Po krótkiej chwili wahania Kit skinął głową. Miał wrażenie, że już odepchnął Sophie od siebie na zawsze. Nie miał nic więcej do stracenia.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaczął zapadać wczesnojesienny zmierzch, gdy Sophie skręciła land roverem, który kiedyś należał do Ralpa Fitzroya, w dziurawą wiejską drogę. Nie była tu od ponad pięciu lat, ale pamiętała każde drzewo i każdą bramę. Łzy, powstrzymywane przez całą drogę z Alnburgh, piekły ją pod powiekami. Na przełaj przez pole dojechała do kilku starych przyczep kempingowych i samochodów mieszkalnych i zatrzymała samochód obok autobusu Rainbow.

Z namalowanych kwiatów oblażyła farba, a pacyfka na tylnym kole straciła jedną z poprzeczek i teraz przypominała logo Mercedesa, ale poza tym wiele się tu nie zmieniło. Nawet zapach pozostał ten sam – gaz z butli, smażona cebula i mokra trawa. Nogi Sophie zdrętwiały po długim siedzeniu w samochodzie. Podeszła do autobusu i zastukała. Okna jak zawsze były zaparowane, ale w środku zauważyła jakiś ruch. W następnej chwili Rainbow otworzyła drzwi, cała w uśmiechach.

– Summer, przyjechałaś!

Głos miała ciepły i radosny. Pachniała lawendą. Sophie uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

– Mam wrażenie, że spodziewałaś się mnie.

Rainbow wzruszyła ramionami. Od czasu, gdy Sophie widziała ją po raz ostatni, zapuściła włosy.

Teraz sięgały poniżej ramion i miały ładny, złotoróżowy odcień, ciemniejszy na końcach. Jak zwykle ubrana była warstwowo, w długą spódnicę, długą tunikę i luźny rozpinany sweter, wszystko w odcieniach indygo i purpury.

– Można tak powiedzieć. Ostatnio ciągle wychodziła mi trójka pucharów, a to karta powrotów, więc naturalnie myślałam o tobie. – Wskazała na stolik, gdzie leżała zniszczona talia tarota. – A dzisiaj rano wyszła mi Wieża, więc chyba mogę powiedzieć, że nie zdziwiłam się bardzo na twój widok.

Jeszcze kilka dni temu Sophie tylko prychnęłaby lekceważąco na takie wyjaśnienie, ale teraz podniosła górną kartę z talii i zobaczyła wysoką wieżę stojącą na skale, bardzo podobną do tej, w której znajdowała się sypialnia Kita w Alnburgh. Niebo za wieżą było czarne, przecięte błyskawicą, z okien tryskały płomienie, a niżej widać było dwie ciemne, spadające ludzkie sylwetki.

– To jest Wieża? – Wzdrygnęła się. – Dlaczego pomyślałaś o mnie?

– Przez tę trójkę pucharów, ale skoro już myślałam o tobie, Wieża powiedziała mi, że coś jest nie w porządku. – W oczach Rainbow, jasnoniebieskich jak letnie niebo albo znoszone dżinsy, błyszczała troska. – Ta karta oznacza cierpienie, które często spada na nas jak grom z jasnego nieba, niszcząc naszą wiarę i przekonania. Choć oczywiście można ją różnie odczytywać – dodała szybko.

– Jak dla mnie to wystarczająco dokładny opis – zaśmiała się Sophie niepewnie.

Rainbow zerknęła na nią, ale powiedziała tylko:

– Może usiądziesz? Jadłaś coś? Hilary przyniosła mi trochę zupy marchewkowej z kolendrą.

Sophie z wdzięcznością usiadła na zapadającej się kanapie. Czuła się, jakby znów miała osiem lat.

Niewiele się tu zmieniło, ale tanie nylonowe zasłonki, które pamiętała, zostały zastąpione nowymi, z drukowanej bawełny, a na dwóch kanapach leżały poduszki z barwnych patchworków. Było tu ładnie, kolorowo i przytulnie.

– Zbyt długo mnie tu nie było – powiedziała ze smutkiem. – Nie jestem najlepszą córką.

– Bzdura. – Rainbow odsunęła karty na bok, postawiła na stole niebieską miseczkę i usiadła naprzeciwko z pogodną twarzą. – Wiesz, że nigdy nie przywiązywałam wielkiej wagi do tych wszystkich zobowiązań rodzinnych. Wróciłaś, bo tego potrzebowałaś, i tylko to się liczy.

– Nie masz mi za złe, że nie byłam tu od pięciu lat?

– Często o tobie myślę, jeśli o to pytasz. Ale myślę dobrze. Od dziecka byłaś bardzo niezależna i samowystarczalna. Ja sama wybrałam sobie takie życie, ale zawsze szanowałam twoje prawo do własnych wyborów.

Sophie sięgnęła po łyżkę.

– Dlaczego wybrałaś takie życie?

– No cóż, na początku właściwie go nie wybierałam. Trafiłam tu, bo uciekłam z nieszczęśliwego małżeństwa.

– Z moim ojcem? – Łyżka Sophie zatrzymała się w połowie drogi do ust, a jej myśli znów wróciły do chwili, gdy Kit uderzył pięścią w samochód. – Bił cię, tak?

Rainbow powiodła palcem po zarysowaniach na blacie stołu.

– Zawsze się zastanawiałam, czy pamiętasz coś z tego okresu.

– Nie pamiętałam. – Aż do tego dnia. – Ile miałam lat, kiedy go zostawiłaś?

– Trzy. – Rainbow podniosła na nią przepaszające spojrzenie. – Uderzył mnie w twojej obecności o jeden raz za wiele. Wiedziałam, że jeśli nie odejdę, to zniszczę twoje szanse na normalne życie, a także zrujnuję swoje.

– Och, mamo!

To słowo wyrwało jej się instynktownie, choć Sophie nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni zwróciła się tak do Rainbow. Ta chyba jednak tego nie zauważyła albo nie miała nic przeciwko temu.

– No cóż, wszystko zdarza się po coś – westchnęła. – Nie mówię, że to było łatwe, bo nie było.

I nikomu bym tego nie życzyła. Ale inaczej nigdy bym tutaj nie trafiła. Poszłam na stację kolejową, wsiadłam do pierwszego pociągu, jaki się trafił, i dojechałam tak daleko, jak się dało, dopóki konduktor nie wyrzucił nas za brak biletu. Okazało się, że to było Newbury. Jakaś kobieta wsiadała do samochodu przy stacji. Zapytałam ją, gdzie tu można się zatrzymać. – Rainbow uśmiechnęła się

melancholijnie. – To była Bridget, pamiętasz ją?

– Pamiętam. – Gdy Sophie dorastała, Bridget wprowadziła ją w jeszcze większe zażenowanie niż Rainbow. Zbudowana jak czołg, w bojówkach w panterkę i wojskowych buciorach, zarządzała całą komuną jak kapral. Potrafiłaby pewnie onieśmielić nawet Kita.

– Po jednym spojrzeniu na moją posiniaczoną twarz i na ciebie zrozumiała, w jakiej jesteśmy sytuacji. W tym momencie zmieniło się całe moje życie. – Rainbow zapaliła lampę i zaciągnęła zasłony. – Przyjechałam tu z nią i przyjęto mnie życzliwie. Mieszkali tu dobrzy ludzie, którzy mieli wizję lepszego świata, bez bomb, wojen i przemocy. Zmieniłyśmy imiona i zaczęłyśmy nowe życie wśród nich. A resztę już znasz. – Wzruszyła ramionami.

Sophie odłożyła łyżkę do pustej miseczki i powoli pokiwała głową. Oczywiście, wiedziała, co było dalej, ale aż do tej pory tak naprawdę nie rozumiała tego – stalowej siły ukrytej za hasłami o pokoju i miłości, odwagi i poczucia wspólnoty, które pozwoliły tej grupce bezdomnych kobiet wychować dzieci i pokazać środkowy palec społeczeństwu, które nie potrafiło ich ochronić. Zbyt szybko przykleiła swojej matce etykietkę hipiski przytulającej się do drzew. Poczowała wstyd, gdy przypomniawszy sobie, jak tłumaczyła, dlaczego nie chce mieć wielkiego ślubu. „Moja matka nie jest taka jak większość matek” – powiedziała z pogardą, jakby to było coś złego. A nie było. To było dobre, bo nauczyło ją siły i niezależności, a także tego, by nie zadawała się byle czym. Poza tym matka kochała ją bezwarunkowo.

– Dziękuję – powiedziała cicho, ujmując jej ciężką od pierścionków dłoń.

Rainbow wydawała się zdziwiona.

– Za co?

– Za wszystko. Za to, że byłaś dzielna i zrobiłaś to, co zrobiłaś, że zachęcałaś mnie, bym żyła własnym życiem. I za to, że jesteś tu teraz, choć minęło już tyle czasu.

Rainbow wstała, zabrała miseczkę i nastawiła wodę w czajniku.

– Zawsze będę przy tobie. Nie mogłam ci wiele dać, jeśli chodziło o sprawy materialne, ale powtarzałam sobie, że mogę ci dać dwie rzeczy: korzenie i skrzydła. Zawsze będziesz miała tu dom, ale jeśli się kogoś kocha, to trzeba umieć pozwolić mu odejść.

Sophie przypomniawszy sobie Kita i do jej oczu napłynęły łzy.

– Naprawdę? A jeśli ten ktoś nie chce odejść? Jeśli chce zostać i przejść przez wszystko razem?

Na twarzy Rainbow odbiło się współczucie. Objęła ją ramieniem.

– Wiedziałam, że coś się stało. Opowiedz mi o tym.

Ze łzami płynącymi po policzkach, Sophie zaczęła mówić. Gdy skończyła, pudełko chusteczek było już prawie puste, podobnie jak butelka dzinu, którą Rainbow z powodu kryzysu wyciągnęła zamiast herbaty ziołowej. Sophie patrzyła na matkę oczami spuchniętymi od płaczu.

– Gdy poprosił, żebym za niego wyszła, wydawało mi się, że dotarłam do szczęśliwego końca

bajki. Nie miałam pojęcia, że będzie jeszcze druga część.

Rainbow zmarszczyła brwi i rozlała resztę dzinu do dwóch kubków.

– I twoim zdaniem to znaczy, że on cię nie kocha?

– Gdyby mnie kochał, to wiedziałby, że chcę po prostu być z nim.

Zapadło milczenie, w którym słychać było tylko syk gazu i muczenie krowy za oknem.

– To może również znaczyć, że kocha cię bardziej, niż jesteś w stanie to zrozumieć – podsunęła Rainbow łagodnie. – Chce, żebyś była szczęśliwa, i woli poświęcić własne szczęście, żeby dać ci na to szansę. Dać ci wolność.

– A jeśli ja nie chcę być wolna? – wymamrotała Sophie, niespokojnie mnąc chusteczkę. – Jeśli wolę być z nim?

Rainbow pochyliła się i wzięła ją za rękę.

– Tak to jest, kiedy się kogoś kocha. Nie chodzi o to, czego ty sama chcesz, tylko o to, co najlepsze dla was obojga. On kocha cię na tyle, żeby zwrócić ci wolność, a ty musisz teraz zrobić to samo dla niego. Musisz mu zaufać, że podejmie własną decyzję, a potem ją uszanować.

– Ale to takie trudne! – westchnęła i przymknęła oczy. Zobaczyła pod powiekami twarz Kita i miała wrażenie, że serce rozdziera jej się na dwoje.

Rainbow mocniej zacisnęła dłoń na jej dłoni.

– Wiem, ale miej wiarę. Pamiętaj, że wszystko zdarza się po coś. Jeśli to ma się zdarzyć, to się zdarzy. Jeśli on cię kocha, to dowiesz się o tym.

Sophie otworzyła oczy i popatrzyła na matkę przez mgłę desperacji.

– Jak?

Uśmiech Rainbow był słodko-gorzki.

– Nie potrafię ci teraz powiedzieć. Będziesz musiała poczekać na jakiś znak.

Siedząc w szpitalnej poczekalni pod jarzeniówką, która denerwująco mrugała i buczała, Kit po raz setny sięgnął po telefon i wybrał numer. W Alnburgh komórki prawie nie miały zasięgu, toteż najpierw spróbował zadzwonić na numer stacjonarny. Czekał bardzo długo, żeby Sophie zdążyła dojść do telefonu, gdziekolwiek była. Jeśli tam była. Ale w głębi duszy miał pewność, że jej tam nie ma.

Powiedziała mu, że jeśli nie zmieni zdania, to wszystko między nimi skończone. Dała mu czas, żeby przemyślał to, co powiedział wcześniej, i żeby mógł odwołać swoje słowa. Ale on nie chciał się nad tym zastanawiać ani z nią rozmawiać. No cóż, teraz miał mnóstwo czasu na myślenie. Ponad godzinę leżał zupełnie nieruchomo w aparacie MRI, zastanawiając się nad własną głupotą.

W nagłym przypływie zniecierpliwienia przerwał połączenie z Alnburgh i wybrał numer komórki Sophie, modląc się w duchu, żeby odebrała. Może wcześniej siedziała w samochodzie i nie mogła

odebrać, ale teraz...

– Tu jesteś, Kit? Przepraszam, że musiałeś tyle czekać. – Randall wyszedł zza załomu ściany. Miał szarą twarz i wydawał się zupełnie wyczerpany. Kit zauważył na jego koszuli ślady krwi. – To był ciężki dzień. Mieliśmy następny przypadek ewakuacji. Tym razem mina lądowa. Chodź do mnie do gabinetu, to porozmawiamy.

Nie czekając, ruszył korytarzem. Kit podniósł się sztywno i poszedł za nim.

– W jakim stanie jest ten ewakuowany?

Randall zamknął drzwi gabinetu i bezwładnie opuścił ramiona.

– Ci, których do mnie przysyłają, nigdy nie są w dobrym stanie – powiedział ze znużeniem, siadając za biurkiem zarzuconym pod sufit papierami. – Ale jest tutaj i żyje. To dobry początek. Fizyczne obrażenia to tylko część tego, przez co muszą przejść. Ja mogę go pozszywać i wysłać do domu, ale o wiele trudniej jest przezwyciężyć mentalne skutki wojny. Powiedz mi, Kit – popatrz na niego sponad sterty papierów – co wiesz o zespole stresu pourazowego?

Kit mimo zaproszenia nie usiadł.

– Zespół stresu pourazowego? Jestem w wojsku już długo i znam wielu żołnierzy, którzy na to cierpieli, ale niewiele przypadków widziałem na własne oczy, bo zwykle ujawnia się to już po powrocie do domu... – Urwał na chwilę, po czym dodał: – Przepraszam cię, Randall, jeśli to zabrzmiało niegrzecznie, ale muszę już jechać.

Randall uśmiechnął się smutno i podniósł jakąś teczkę z jednej ze stert.

– Oczywiście. Jesteś tu już długo. Chcesz się tylko dowiedzieć, co wyszło w badaniach, i zniknąć stąd jak najszybciej.

Kit poczuł przyływ adrenaliny.

– Masz już wyniki?

– Większość. – Randall przerzucił papiery w teczce. – Morfologia krwi jeszcze nie dotarła z laboratorium, ale mam wyniki rezonansu i elektromiografii.

Kit odwrócił spojrzenie i wziął głęboki oddech.

– Nie chcę wiedzieć – powiedział bardzo spokojnie. – Jeszcze nie.

Randall podniósł na niego zdziwione spojrzenie.

– Wiem, Kit, że trudno ci było stawić temu czoło, ale...

– Było trudno. – Kit postąpił dwa kroki naprzód i znalazł się przed szafką na dokumenty. Odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. – Ale bardzo się cieszę, że to zrobiłem, bo przy okazji mogłem skonfrontować się też z innymi rzeczami i uświadomić sobie, jaki byłem głupi. – Znow znalazł się przed szafką z dokumentami, oparł o nią łokcie i ukrył głowę w rękach. – Boże, Randall, skopałem wszystko tak, że bardziej nie można – wymamrotał.

– Opowiedz mi o tym. Może to ci pomoże.

Śmiech Kita zabrzmiał gorzko.

– Dzięki, ale nie mam teraz czasu. Muszę ją znaleźć i wszystko naprawić, zanim będzie za późno.

– Ach! – Randall ostrożnie zamknął teczkę i odłożył ją pomiędzy inne. – Tak myślałem, że gdzieś

w tym wszystkim musi być kobieta.

– No właśnie, gdzieś. Chyba wyjechała z Alnburgh i nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd.

A muszę ją znaleźć, zanim poznam wyniki tych badań. Muszę stanąć przed nią i powiedzieć jej uczciwie, że Lewis miał rację. Wolę spędzić rok życia z nią niż pięćdziesiąt lat bez niej.

Randall zakołysał się na krześle z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Czy ona ma komórkę?

– Próbowałem. Nie odpowiada.

– Ale komórka jest włączona? W takim razie może szybko zadzwonisz do chłopaków z łączności?

– Uśmiechnął się do Kita konspiracyjnie. – Prawdę mówiąc, przypuszczam, że to nie jest kwestia życia i śmierci, ale...

– Dzięki, Randall. – Kit wyprostował się i na jego twarzy błysnęła nadzieja. – Dla mnie to jest kwestia życia i śmierci.

– Herbata, skarbie.

Sophie otworzyła oczy, tłumiąc jęk irytacji. Nie miała ochoty się budzić i rozpoczynać pierwszego dnia nowego życia bez Kita, a przede wszystkim nie miała ochoty na ohydny ziołową herbatę Rainbow.

– Dzięki – wymamrotała tonem, który wyraźnie mówił, że wolałaby zostać teraz sama.

– Jest piękny ranek – stwierdziła Rainbow spokojnie, odsuwając zasłony. – Jak się czujesz?

– Nie najlepiej – jęknęła i zagrzebała twarz w poduszce. Oczy piekły ją od płaczu, plecy bolały od wielogodzinnej jazdy poprzedniego dnia, a serce od myśli, że porzuciła jedynego mężczyznę, jakiego w życiu kochała.

– To zrozumiałe – powiedziała Rainbow ze współczuciem. – Ale popatrz tylko na ten piękny widok, a poczujesz się o wiele lepiej.

– Bardzo wątpię.

– Naprawdę, sama zobacz. Jest piękny, słoneczny, jesienny poranek. Słońce już wzeszło, rosa lśni na trawie...

Sophie miała wielką ochotę zakląć, ale ugryzła się w język. Nieustanny optymizm matki może nie był najwłaściwszy w tej sytuacji, ale musiała ją za to podziwiać. Tylko ten optymizm pozwolił Rainbow wyrwać się z beznadziejnej sytuacji i zacząć życie od nowa. Pomyślała, że powinna się od niej czegoś nauczyć.

– Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Sophie podniosła się niechętnie, odsunęła zasłonkę przy łóżku i skrzywiła się, gdy w oczy uderzył ją oślepiający blask.

– No i zobacz, tu niedaleko stoi zaparkowany taki bardzo drogi, czarny sportowy samochód.

Rzadko się takie widuje w tej okolicy.

Przez chwilę Sophie nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Przenosiła wzrok z samochodu na matkę i z powrotem, żeby sprawdzić, czy tylko jej się nie wydaje. W oczach Rainbow zatańczyły iskierki.

– Mówiłam, że musisz poczekać na znak. No i masz swój znak.

Rainbow miała rację, poranek był piękny. Sophie wyskoczyła z autobusu i w fioletowych gumowcach matki poszła przez pole w stronę czarnego samochodu. Słońce odbijało się od przedniej szyby. Fotel kierowcy miał nisko opuszczone oparcie. Kit spał.

Miała ochotę obsypać go pocałunkami i przyznać, że była bardzo głupia, ale wciąż pamiętała słowa matki, że gdy się kogoś kocha, nie chodzi o to, czego ty chcesz, tylko o to, co jest najlepsze dla was obojga. Przez chwilę stała nieruchomo, a potem odwróciła się i powoli ruszyła z powrotem. Była już przy autobusie, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiczek.

– Sophie!

Kit szedł w jej stronę, osłaniając oczy przed słońcem. Zatrzymali się kilka kroków od siebie.

– Nie chciałam cię budzić – powiedziała niepewnie.

Niecierpliwie potrząsnął głową. W porannym słońcu widziała bladość jego twarzy i cienie wyczerpania pod oczami.

– Nie zamierzałem spać. Jechałem przez całą noc.

– Ale skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Poprosiłem o pomoc kolegów z łączności – westchnął. – Namierzyli sygnał twojego telefonu z dokładnością do ośmiu mil kwadratowych. Dalej musiałem zgadywać.

Nie miał zamiaru opowiadać jej o frustracji ostatnich godzin ani o narastającym zmęczeniu, gdy po raz kolejny trafiał w ślepy zaułek i musiał zawracać. Znalazł to miejsce o wschodzie słońca; na widok dużego autobusu pomalowanego w kwiaty i pacyfki, który stał bez sensu pośrodku pustego pola zrozumiał, że dotarł do celu. Na swój sposób ten autobus był równie wyjątkowy jak zamek w Alnburgh.

– Przepraszam cię, Kit – westchnęła Sophie. – Nie miałam prawa ustalać zasad i stawiać ci ultimatum. Jeśli jesteś chory, musisz sobie z tym poradzić na swój sposób. Będę cię wspierać i uszanuję każdą twoją decyzję.

– Zrobiłem badania. Całe mnóstwo badań. Wczoraj po południu. Elektrody, kable, igły i prześwietlenia.



– I co wyszło? – zapytała Sophie bez tchu.

Kit zawahał się i zacisnął zęby.

– Cokolwiek to jest, nie może być gorsze niż utrata ciebie. Przez cały czas miałem ochotę zerwać

z siebie te kable i wyjść stamtąd, żeby cię szukać. Przekonałem się, czego boję się najbardziej.

– Czego?

Przymknął oczy i zacisnął dłonie w pięści.

– Boję się życia bez ciebie. – Chwycił jej dłoń. – Nie wiem, czy jestem chory na to co Leo, czy nie.

Nie chciałem, żeby mi powiedzieli. Musiałem najpierw zobaczyć się z tobą i powiedzieć, że cię kocham bez względu na wszystko.

Sophie położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła jego twarz do siebie.

– Jesteśmy w tym razem – szepnęła.

Rainbow siedziała przy stole, jadła grzankę i rozkładała karty tarota. Uśmiechnęła się do Kita zupełnie swobodnie, jakby spodziewała się jego wizyty.

– Cześć. Jestem Rainbow, mama Sophie.

Sophie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy matka użyła jej prawdziwego imienia.

– Mam na imię Kit.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Rainbow z lekkim rumieńcem zgarnęła karty i podeszła do drzwi.

– Muszę oddać Hilary tę miskę po zupie, więc zostawię was na chwilę. Prosiła też, żebym postawiła jej karty, więc to może trochę potrwać.

Gdy zamknęła drzwi, Sophie wybuchnęła śmiechem.

– Ona chyba myśli, że zaraz zerwiemy z siebie ubrania i przystąpimy do orgii.

Kit dotknął jej policzka.

– To kuszący pomysł.

– Później – powiedziała z uśmiechem. – Najpierw trzeba zadzwonić.

– Dobrze, dobrze... – uśmiechnął się żałośnie. – Dostanę jakąś kawę?

– Chyba nie masz tyle szczęścia – zaśmiała się, otwierając szafkę nad zlewem. – Jest ziołowa herbata z różnych rodzajów trawy.

Kit rozejrzał się po autobusie.

– Podoba mi się tu – powiedział powoli. – Nawet bardzo. – Sophie pisnęła, gdy zacisnął ramiona wokół jej ciała. – Poza tym tu jest znacznie bliżej do łóżka niż w Alnburgh.

Gdy ją całował, wsunęła rękę do tylnej kieszeni jego dżinsów i wyjęła komórkę.

– A teraz zadzwoń – zaśmiała się, wrywając się z jego uścisku. Nastawiła wodę i znalazła za paczką z siemieniem lnianym jakiś bardzo stary słoik z kawą rozpuszczalną. Kit wybrał numer,

a potem położył telefon pośrodku stołu i włączył głośnik.

– Mark Randall – odezwał się męski głos.

– Cześć, Randall, tu Kit Fitzroy.

– Kit, właśnie o tobie myślałem. Domyślam się, że ją znalazłeś?

– Skąd wiesz?

– Słyszę w twoim głosie, że się uśmiechasz.

– No tak, znalazłem ją – przyznał Kit i wziął ją za rękę. – Dzięki tobie. Jest tu ze mną i teraz mogę usłyszeć, co masz mi do powiedzenia.

Sophie usiadła naprzeciwko niego. Zdawało się, że czas się zatrzymał.

– Bogu dzięki – powiedział Randall sucho. W tle słyszeli szelest papierów. Twarz Kita była popielata, zupełnie pozbawiona wyrazu.

– Dobra, nie będę owijał w bawełnę – powiedział Randall już pewniejszym głosem. – Nie masz stwardnienia zanikowego. Wszystkie badania wskazują, że nie masz żadnej choroby neurologicznej. Twoje mięśnie są ponadprzeciętnie sprawne.

Sophie westchnęła lekko. Głowa Kita zakołysała się, jakby ktoś uderzył go w twarz.

– To dobrze – powiedział głosem napiętym od emocji i w jego oczach pojawił się uśmiech. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że mam coś jeszcze gorszego?

– Nie. Ale pamiętasz, jak pytałem cię wczoraj o zespół wstrząsu pourazowego?

Sophie poczuła, że całe ciało Kita drgnęło. Puścił jej rękę.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że to właśnie to? – rzekł ostro, odwracając głowę do okna. – Zdawało mi się, że to jest zaburzenie psychiki.

– W dużej części. – Głos Randalla brzmiał bardzo neutralnie. – To są bardzo złożone zaburzenia o szerokiej gamie symptomów, od trudności ze snem do nadmiernego pobudzenia, przez paranoję, zaburzenia percepcji, wybuchy niekontrolowanej złości. Czy coś z tego brzmi znajomo?

Krajobraz za oknem zatarł mu się w oczach i pociemniał. Na czoło wystąpił pot, a w palcach znów pojawiło się znajome odrętwienie i pieczenie. Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Tak. – To Sophie cichym, lecz pewnym głosem przerwała milczenie. Dotknęła jego policzka i łagodnie odwróciła jego twarz w swoją stronę. – To właśnie zdarzyło ci się w Maroku, tak? Na suku? Przeniosłeś się w czasie. Tak było?

Nie miał się gdzie ukryć, nie miał żadnej amunicji. Czuł się tak, jakby po wyczerpującej walce musiał wyjść na otwartą przestrzeń, unosząc ręce w geście poddania.

– Tak. – Miał wrażenie, że gardło ma zrobione z papieru ściernego. – A moje ręce? Mówisz, że to wszystko dzieje się w umyśle?

Randall westchnął.

– Nie. Mówię, że odrętwienie i brak koordynacji mogą być ekstremalną reakcją na stres u kogoś, kto wiele przeszedł, więcej, niż człowiek jest w stanie znieść. – Sophie obeszła stół i objęła twarz Kita dłońmi. – Rozmawiałem z żołnierzami, którzy z tobą służyli, Kit – ciągnął Randall. – Wiem, jak wiele brałeś na siebie, by ich oszczędzić. Tam zawsze jest ciężko, nawet w najlepszych momentach, a ty masz za sobą wiele z tych gorszych momentów. Takie życie musiało się w końcu na tobie odbić.

– Kit wstał niezgrabnie, objął Sophie i mocno przycisnął do siebie. – Zgaduję, że radziłeś sobie z tym, po prostu odcinając się od wszelkich emocji, ale teraz... – Randall zaśmiał się krótko. – No cóż, witamy w szeregach ludzkości, majorze Fitzroy.

Kit niechętnie oderwał usta od twarzy Sophie, ale nie wypuścił jej z objęć.

– Dobra, rozumiem – powiedział szorstko. – Co dalej?

– Rozmowa pomaga – odrzekł Randall. – Okazywanie emocji.

– Wchodzę w to – uśmiechnął się krzywo.

– Często samo wyrzucenie z siebie wspomnień pomaga. Umysł się oczyszcza i przerywa ten błędny krąg. – Znowu usłyszeli szelest papierów. – Jeśli chcesz, poszukam telefonów do ludzi, którzy są w stanie ci pomóc.

– Dzięki, Randall, ale już mi pomogłeś. Masz u mnie dług wdzięczności.

– Nie ma za co. Wykonuję tylko swoją pracę, tak jak ty wykonywałeś swoją. Ale możesz mnie zaprosić na wesele. Chciałbym poznać tę dziewczynę.

– Czuj się zaproszony.

Kit wyłączył telefon i spojrzał na Sophie. Czuł się niewymownie zmęczony, jakby po wielu dniach wędrówki zauważył wreszcie na horyzoncie dom.

– No to zdaje się, że jesteś na mnie skazana przez najbliższe pięćdziesiąt lat.

– Bogu dzięki – westchnęła. – Czy teraz już możemy pójść do łóżka?

Potrząsnął głową, znowu sięgnął po telefon i zaczął przeglądać listę kontaktów.

– Jeszcze nie. Muszę zadzwonić jeszcze raz. W sprawach posiadłości.

– Halo. Northumberland Holidays – odezwał się znudzony głos w głośniku. – Czym mogę służyć?

– Mówi Kit Fitzroy. Dzwonię w sprawie farmy przy zamku w Alnburgh.

Sophie szeroko otworzyła oczy.

– Ach tak, panie Fitzroy. – Głos stał się wyraźnie cieplejszy i bardziej ożywiony. – Czy jest jakiś problem?

– Chyba tak – powiedział Kit poważnie. – Ze względu na okoliczności pozostające poza moją kontrolą muszę, niestety, wycofać farmę z oferty już od dzisiaj. Proszę odwołać wszystkie rezerwacje, oczywiście za odpowiednią rekompensatą.

Sophie opuściła ręce, patrząc na niego z oszołomieniem.

– Ach, tak – westchnęła znudzona pracownica agencji. – To wielka szkoda. Dobrze, że sezon już się kończy. Czy mogę zapytać, jak długo farma będzie niedostępna dla wynajmujących?

Kit dotknął czubkami palców ust Sophie.

– Na zawsze – uśmiechnął się.

## EPILOG

Pierwsze płatki śniegu zaczęły spadać z szarego nieba, gdy autobus przetoczył się przez wioskę Alnburgh, po czym w chmurze spalin z diesla zatrzymał się na placu przed kościołem. Zgromadzony dookoła tłum gapiów, którzy chcieli zobaczyć pannę młodą, zareagował na to okrzykami uznania. Sophie wyjrzała przez okno i poczuła kulę w gardle.

– Tak właśnie wygląda mały ślub – zażartowała słabym głosem. Tłum był pełen znajomych twarzy.

Wzruszyła się, gdy zauważyła zaróżowioną z podniecenia panią Watts w towarzystwie właścicielki pubu King's Arms.

Rainbow wyszła zza kierownicy w długim do kostek, czarnym gotyckim płaszczu, który podkreślał piękny kolor jej włosów.

– Jesteś gotowa?

Sophie sięgnęła po bukiet ciemnoczerwonych róż.

– Chyba żartujesz? Już się nie mogę doczekać. Wiem, że według tradycji pan młody i panna młoda nie powinni się widzieć przed ślubem, ale ja mam wrażenie, jakbym nie widziała Kita już przez milion lat. Chcę mieć to wszystko jak najszybciej za sobą, żeby wreszcie mogła z nim porozmawiać!

Juliet Fitzroy podniosła się z miejsca i poprawiła prosty wianek z liści bluszczu, który Sophie miała na głowie. Ubrana była w ciemnozieloną jedwabną sukienkę, prostą i elegancką. Sukienka Sophie była wąska, z jedwabiu, na który nałożona była warstwa delikatnej koronki naszywanej drobnymi perełkami.

– Będziecie mieli całą resztę życia, żeby rozmawiać – uśmiechnęła się Juliet z uczuciem. – Ciesz się każdą minutą. To twój dzień.

Rainbow potrząsnęła głową i w jej niebieskich oczach błysnęły łzy.

– Pięknie wyglądasz. Czuję się tak... – urwała i przyłożyła rękę do ust. Juliet dotknęła jej ramienia z wyraźnym zrozumieniem.

– Twoja mama jest z ciebie dumna. Ja też – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwały echa głosu Kita. – Zaslługujesz na szczęście.

– Dziękuję. – Sophie spojrzała na swoje dłonie. Na palcu błyszczała Czarna Gwiazda, do której wkrótce miała dołączyć prosta złota obrączka. – Jesteście pewne, że opale nie przynoszą nieszczęścia? – zapytała po raz kolejny.

– Absolutnie nie – odrzekła Rainbow ze stoickim spokojem. – Mówi się, że przynoszą nieszczęście, o ile nie są czymś kamieniem urodzeniowym, a w twoim wypadku właśnie tak jest. Ale

w leczeniu kryształami opale mają uwalniać od lęków i dodawać siły. Kojarzy się je również z atrakcyjnością seksualną.

Sophie roześmiała się. Pożądanie między nią a Kitem było równie mocne jak zawsze, teraz jednak często rozmawiali do późna w nocy o swoich nadziejach na przyszłość i na rodzinę. Nie miała jeszcze pewności i już kilkakrotnie przeżyła rozczarowanie, ale może tym razem?

Stojący już przy ołtarzu Kit zwrócił się do Jaspera. Przy kalifornijskiej opaleniznie brata jego twarz wydawała się równie biała jak wykrochmalony kołnierzyk koszuli.

– Co się tam dzieje? – zapytał niespokojnie. – Przyjechały już dawno. Nie sądzisz chyba, że się rozmyśliła?

Jasper powstrzymał uśmiech i nonszalancko wzruszył ramionami. Wciąż nie mógł się nadziwić przemianie swego dotychczas niewzruszonego starszego brata.

– Może... – rzekł z kpiną. – Nie była tak do końca pewna, czy chce za ciebie wyjść.

Kit wymamrotał pod nosem przekleństwo i ruszył przed siebie, ale Jasper zastąpił mu drogę.

– Nie zachowuj się jak osioł. – Z desperacją przewrócił oczami. – Wiedziałem, że powinienem być druzną Sophie, a nie twoim družbą.

Kit wyminął go i podszedł do jednego z umundurowanych mężczyzn po swojej stronie kościoła.

– Lewis, wyjdź przed kościół i sprawdź, czy wszystko w porządku, dobrze?

– Jasne. – Lewis oddał synka świeżo poślubionej żonie, która siedziała w ławce obok niego, i z dawną pewnością siebie poszedł wzdłuż rzędu ławek. Chwilę później wrócił szeroko uśmiechnięty i podniósł kciuk do góry. W kościele rozległ się szmer. Sophie stanęła w drzwiach. Nie miała welonu, a na jej włosach lśniły płatki śniegu jak małe diamenty.

Kit ruszył w jej stronę. W kościele zapadło milczenie. Nie było organowej muzyki ani marsza weselnego. Grupa przyjaciółek Rainbow na galerii grała na gitarze, skrzypcach i blaszanym gwizdku starą, piękną ludową balladę *Południowy wiatr*.

Sophie szła w jego stronę, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Za jedną rękę trzymała ją Rainbow, za drugą Juliet. Wydawała się silna, szczęśliwa i tak piękna, że nie tylko w oczach Kita błysnęły łzy. Nie mógł już czekać dłużej. Zostawił zdesperowanego Jaspera przy ołtarzu, wyszedł naprzeciwko i spotkali się pośrodku kościoła. Wsunął dłoń w jej lśniące włosy i pocałował ją.

Ksiądz westchnął i podniósł oczy do nieba.

– Jeszcze nie dotarliśmy do tego momentu.

Tytuł oryginału: In Bed with a Stranger

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2011

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

Korekta: Łucja Dubrawska-Anczarska

© 2011 by India Grey

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Światowe Życie są zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-238-9804-7

ŚŻ – 473